

małodo drze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 3 [660]

7 — 20 II 1988 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

MIKOŁAJCZYK I JEGO STRONNICTWO

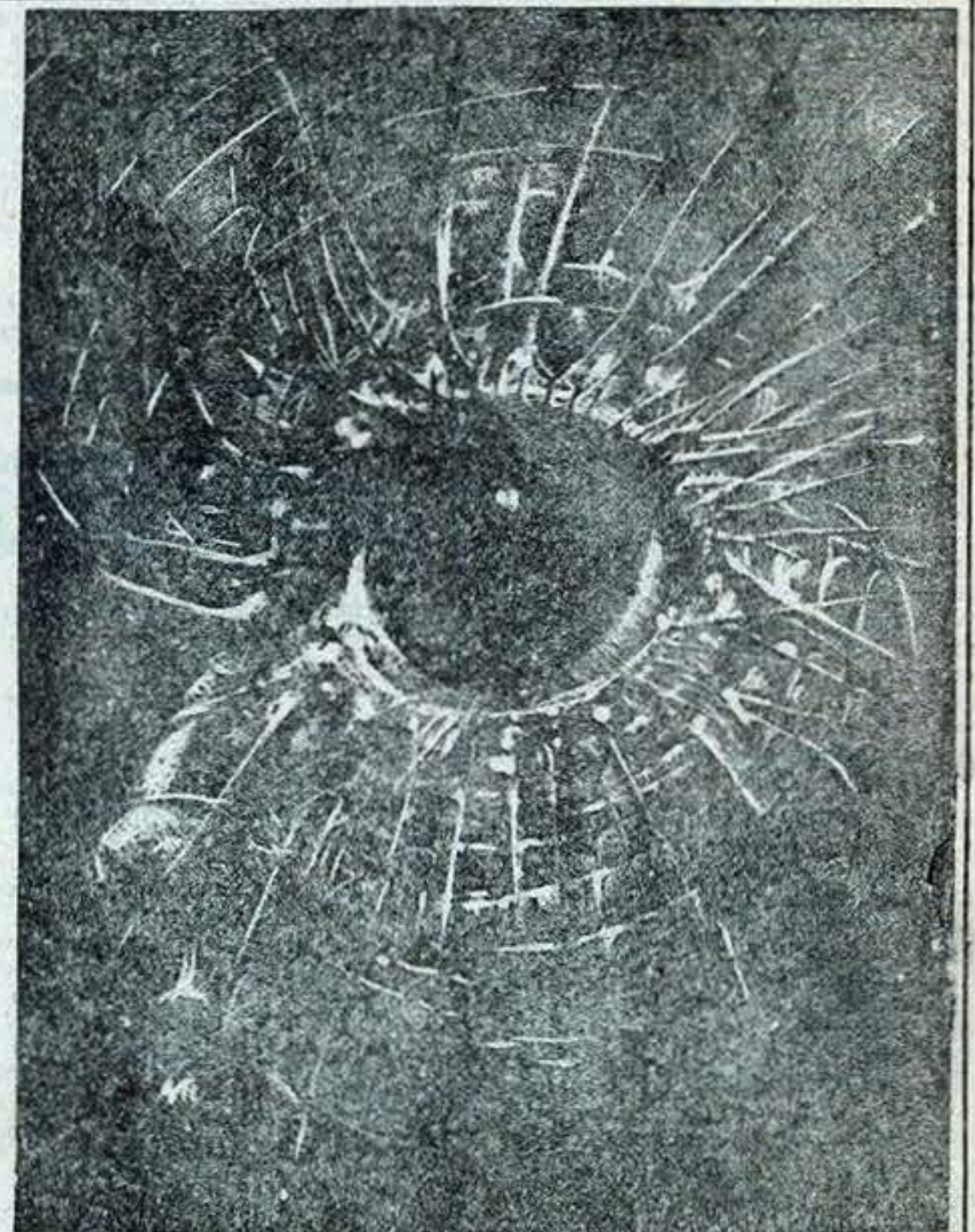
OSTATNI SPACER TERESY Z.

ZIELONOGÓRZANIE W GÓRZOWIE

WIDEO

SCENY
Mitosne

Z WYSTAWY PLAKATU
FRANCISZKA STAROWIEYSKIEGO
W ZIELONOGÓRSKIM BWA



Z lek. med. BARBARA CHMIELINSKA — ordynatorem Oddziału Pulmonologicznego w Szpitalu Wojewódzkim i dr JANUSZEM ENDERLE — kierownikiem Wojewódzkiej Przychodni Gruźlicy i Chorób Ręnych w Zielonej Górze rozmawia HALINA ANSKA.

— Z ulotki przeczytanej w poczekalni dowiedziałam się, że w Polsce na gruźlicę choruje 45 tysięcy osób, z czego 15 tysięcy prątkuje. Nie jest to chyba sytuacja bardzo groźna.

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — A jednak jest! Od kilku lat liczby te nie maleją! Są kraje, np. Dania i Szwecja, w których gruźlica już prawie nie występuje. My w statystyce europejskiej znajdujemy się na końcu, tylko przed Jugosławią, Grecją i Albanią...

Dr JANUSZ ENDERLE: — W 1983 roku liczba zgonów w Polsce spowodowanych gruźlicą płuc, wyniosła dwa ty-

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Ponieważ społeczeństwo zbagatelizowało sobie gruźlicę i bagatelizuje inne choroby płuc. Pierwszymi objawami gruźlicy mogą być: podwyższona ciepłota ciała, uparty kaszel, osłabienie, utrata wagi. Na te objawy na ogół ludzie nie zwracają uwagi, chyba, że komus potrzebne jest zwolnienie lekarskie. Nie zgłaszają się do lekarza czasem nawet ci, u których występuje krwioplucie. Bywa też, że chory zgłosi się, dowie o swojej chorobie i podejmie leczenie. Lecz już po lekkiej poprawie przerywa je, doprowadzając się w krótkim czasie do stanu groźnego nie tylko dla siebie, ale i dla rodziny. Znam takie przypadki.

Oddychać głęboko

siące. To bardzo dużo, biorąc pod uwagę fakt, iż chorobę tę, teoretycznie mamy opanowaną.

— To znaczy?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Ustawa Sejmowa z 22 kwietnia 1959 roku zapewnia chorym na gruźlicę bezpłatne leczenie ambulatoryjne i szpitalne, bezpłatne leki i zabiegi, nawet po moc materialną. W zamian wymaga od chorych sumiennego przestrzegania terminów kontroli systematycznego przyjmowania leków i stosowania się do wszystkich wskazań lekarza. Brakuje tu jednak tej przysłowiowej kropki nad "i": przymusu leczenia. Chory na gruźlicę, nawet ten prątkujący, decyduje sam o leczeniu. I gdy leczy się nie ze chęci, chodzi po świecie zakażając innych.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Mówiąc o teoretycznym opanowaniu gruźlicy, miałem na myśli profilaktykę. Każdy noworodek otrzymuje szczepionkę BCG i dzięki niej na 2 — 3 lata zostaje odporniony przeciwko gruźlicy. Gdy dorosnie, przechodzi próbę tuberkulinową w szkole i jeśli odczyn w miejscu szczepienia jest mniejszy, niż 6 mm, BCG podaje się ponownie. Dalej: robione są masowe badania radiograficzne. Każdy może przyjść i skontrolować swoje płuca. Działa też w kraju Społeczny Komitet Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc. On właśnie ma być wydawcą ulotek o których pani wspominała na początku.

— Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Nie tak, jak w Danii czy Szwecji?

Dr JANUSZ ENDERLE: — Zdarza się nieskuteczność szczepień BCG spowodowana nieprawidłową techniką szczepienia. Przyjmujemy, że ponad 90 procent ludzi, w momencie osiągnięcia wieku 15 lat, już zetknęło się z tzw. ułkim prątkiem gruźlicy i na niego się uodporniło. Ale wśród tych osób nadkażonych gruźlicą mogą trafić się chorzy. Dlatego polecałbym wszystkim rady, za wartę w ulotkach, a zachęcające do okresowego kontrolowania płuc. Badania radiologiczne nie są bolesne, ani kłopotliwe czy szkodliwe. Potrzeba tylko tych paru minut na przyjście do przychodni.

— Ogólnie słyszy się o braku leków.

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Leków przeciwprątkowych nie brakuje. A skoro już o lekach mowa, to powiem, że ludzie ich nie szanują. Gromadzą bez sensu i trzymają w domu. Moim zdaniem lekarstwa powinny być odpłatne, może wówczas zniknęłyby zasoby w domowych szufladach. Każdy człowiek powinien mieć przy sobie coś w rodzaju "osobistego dowodu zdrowia". Wpisane byłoby tam leki, które otrzymał i lekarz nie przepisywałby ich ponownie. Taka książeczka szalenie ułatwiłaby diagnozowanie i postępowanie z pacjentem w trakcie choroby. Np. wiadome byłoby od razu takie szczegóły, jak grupa krwi, obraz krwi na przestrzeni ostatnich lat, przebyte choroby, operacje i rodzaje leczenia oraz informacja o e-

Ciąg dalszy na str. 4

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Janusz Skiba jest pilnym obserwatorem natury... (Czyt. str. 8)



Opinie i refleksje

Droga „ducha Waszyngtonu”

W związku z tym, że cały świat nadal interesuje się porozumieniem osiągniętym w Waszyngtonie przez Gorbaczowa i Reagana i serią kroków odprężających, które imponują rozmachem, a przede wszystkim tempem — warto chyba raz jeszcze zająć się aktualnym stanem stosunków pomiędzy obydwojma mocarstwami i wpływem jaki wywierają one na inne państwa.

To, co dzieje się obecnie na linii Waszyngton — Moskwa jest rzeczą wręcz niewiarygodną. Międzynarodowa społeczność przez cały powojenny okres nie ośmielała się nawet marzyć, że proces już nie tylko pokojowego współistnienia, ale wręcz kroczenia wspólną drogą przez oba supermocarstwa jest w ogóle możliwy.

Pamiętam, że sam na swoich licznych prelekcjach głosiłem tezę, że co jak co, ale autentyczny proces rozbrojenia między USA a ZSRR nigdy nie stanie się faktem, że mogą być podpisywane różne oświadczenia, że deklaracje w tej sprawie, ale nigdy nie wejdą one w życie, bo stopień zaufania pomiędzy obydwojma tymi potęgami jest tak niski a dążenie do supremacji tak rozwinęte, iż rzeczywiste rozbrojenie nie ma absolutnie szans w dającej się przewidzieć przyszłości.

Natomiast ciągła konfrontacja w okresie powojennym od tzw. „kryzysu berlińskiego” w 1948 roku (a jeszcze przedtem zapoczątkowanie „zimnej wojny” znanymi wystąpieniami Churchilla w Fulton i Byrnesa w Stuttgarcie), „kryzys kubański” w 1962 r., aż po instalację euromisji w 1979, kwestie afgańska, nie mówiąc już o wielu incydentach, nie spichając, jak np. wokół zestrzelenia samolotu południowokoreańskiego itp. groziło w każdej chwili przekształceniem się w konflikt globalny.

Jednak nawet wtedy bardzo wiele za leżało od przywódców, od tego czy wykażą oni dostateczną mądrość i odpowie działność polityczną za losy ludzkości. Tak było np. w 1962 r., podczas kryzysu kubańskiego (niezwykle groźnego), gdy rozważała i odpowiadała postawa Chruszczowa i Kennedygo uchroniła świat przed groźbą zagłady. W ogóle jeśli o osobę Chruszczowa chodzi, to należy on niewątpliwie do najbardziej wybitnych postaci radzieckiej sceny politycznej. Jego plebejski wygląd w połączeniu z umiętnością tak bywania sobie sympatii środowisk tak elitarnych jak intelektualistów czy artystów, jednakowo podziw i uznanie, nawet wtedy gdy własnym butem walił w pulpit na sesji ONZ, co publiczności amerykańskiej zresztą bardzo się podobało. Był postacią niezwykle malowniczą, ale równocześnie cechowała go ogromna odwaga polityczna, gdy wziął się za bary z mitem stalinowskim i postawił na politykę odprężenia. Niewątpliwie był to pierwszy zapłon w tym kierunku, dziś jakże rozwinęty przez Gorbaczowa — i o dziwo — Reagana, którego przez wiele lat przedstawialiśmy jako wcielonego diabła imperializmu, podczas gdy on mówił o nas jako o imperium zła: Co to znaczy osobowość polityczna, jeśli Gorbaczowowi udało się zdobyć i tę fortelę!

Dzisiaj, gdy tenże prezydent przyjeżdża do Moskwy, aby podpisać porozumienie o 50-proc. redukcji strategicznego arsenału nuklearnego, widąc jak nieporównywalnie wyższy etap reprezentuje „duch Waszyngtonu” od „ducha Camp Dawid”. Prezydent zatwierdził właśnie program kosmiczny USA, który przewiduje możliwość realizacji wspólnych z ZSRR wypraw kosmicznych na księżyc i Marsa! A grupy inspekcyjne na poligonach doświadczalnych obu państw — czy było to do pomysłowania jeszcze niedawno? W szybkim tempie rozwijają się rokowania na temat powszechnego zakazu prób z bronią nuklearną, urzeczywistnienia w Europie Środkowej korytarza wolnego od broni jądrowej i chemicznej, (plan Jazulskiego), ogłoszenie Bałkanów i północnej Europy strefami bezatomowymi, wprowadzenia dodatkowych środków zaufania, coraz bliższe perspektywy wycofania wojsk radzieckich z Afganistanu.

Oczywiście są i ciernie na tej drodze — jak np. SDI, czego Reagan wciąż kurczowo się trzyma, powołanie przez Francję i RFN wspólnych jednostek wojskowych i wspólnej Rady Obrony, poparcie dla nikaraguańskich contras, ale ogólnie proces odprężenia rozwija się w oszałamiającym tempie. To dobra prognoza na rok bieżący i — miejmy nadzieję — na cały nasz wiek, i nie tylko!

MICHAŁ HOROWICZ

CO BOLI CHŁOPA

W ostatnich latach nastąpiło załamanie produkcji rolnej w województwie zielonogórskim. Z roku na rok przybywa ugorów i Państwowego Funduszu Ziemi, a ubywa gospodarstw indywidualnych. Spada stan pogłowia bydła i trzody chlewnej. Ograniczenie wydatków na inwestycje zahamowało rozwój przemysłu rolno-spożywczego. Skutki tego są już widoczne, szczególnie w sklepach spożywczych regionu. Do nie dawna w Zielonogórskim trudno było kupić olej i margarynę, potem ser twar dzy, ostatnio występuje niedostatek sera białego i masła. Przypominając to, chłopci, członkowie ZSL, pytali, dlaczego władze wojewódzkie nie przeciwdziałają kryzysowi w rolnictwie i przede wszystkim rolnemu? Nie wszystko zależy od gospodarzy regionu. Na kłopotliwych ziemiach, a także dominują w Zielonogórskim, nie można osiągnąć dobrych wyników produkcyjnych. To, co zrobiono, a więc budowa elewatorów, ele jarni, uruchomienie kaszarni, przecho walni owoców, fabryczki musztardy, już służy społeczeństwu lub niebawem zostanie przekazane do użytku. Wielu mówców wyrażało nadzieję, że będzie się ludziom lepiej żyło, ponieważ związek rolników, i związki zawodowe prze jawiają troskę o poprawę bytu społeczeństwa. Ale zaraz podano kilka do-

wodów — beztroski władz, których na wet goście z centrali ZSL, ministerstwa rolnictwa, organów planowania nie mogli podważyć. Cały powojenny okres — to poddawanie rolnictwa różnym eksperymentom.

Wsi brakuje środków produkcji, szcze gólnie prostych narzędzi i maszyn, na wozów mineralnych, węgla, koncentratów paszowych, środków ochrony roślin, a ostatnio oleju napędowego i smarów. Wielu rolników więcej pieniędzy wyda je na zakup środków do produkcji, niż uzyska je ze sprzedaży piodów rolnych. Michał Butryn, rolnik z Lipinek Łużyckich, przypominał, że w ciągu ostatnich lat kwintal zboża podrażał pięciokrotnie, a ciagnik marki Ursus C-330 — aż 11 razy. Przed 19 laty rolnik musiał sprzedać 20 ton żyta, by mieć za co kupić traktor. Dziś identyczny kurs ma wartość 37 ton zboża. Gdy by rolnik miał pieniądze, to nie kupi ciagnika, bo wcześniej powinien dostać talon z urzędu gminy, o który trzeba długo zabiegać. M. Butryn powiedział, że zakłady wrocławskie Pilmet zaproponowały mu sprzedaż opryskiwacza pod warunkiem, że przez 3 miesiące będzie ich pracownikiem. Rolnik pyta: Kto w tym czasie będzie karmił i poił moje krowy? Kto będzie uprawiał mo je pole?

Z REGIONU

Na wsi żyje się gorzej. Zamiast przy bywać kwalifikowanych nauczycieli, le karzy, instruktorów placówek kultury i sportu — ze wsi ich ubywa. Chłop co raz dalej ma do lekarza, domu kultury, na pocztę, jego dziecko wraca ze szkoły zmęczone, głodne, niedouczone.

Wojewoda zapowiedział, że w Zielono górkim zostaną stworzone takie warunki socjalne, by lekarze osiedlili się we wsiach. Niebawem 50 procent dzieci wiejskich w wieku 3-6 lat będzie obję te opieką przedszkolną (w kraju 40 proc.). Zdaniem wojewody przybywa nowych szkół, ośrodków zdrowia, placówek kultury, dróg.

Dyskutanci, delegaci na XV Wojewódz ki Zjazd ZSL, uważają, że warunki so cjalne mieszkańców wsi nie ulegają poprawie. Jeśli ministerstwo rolnictwa nadal będzie lekceważyło głosy rolni ków, nastąpi pogorszenie sytuacji żywno ściowej kraju. I choć PZPR i ZSL

wytyczyły kierunki rozwoju rolnictwa, wyraźnie określiły zasady polityki rol nej Polski — to niewiele się robi, by ze wsi nie ubywało młodzieży, rosła pro dukcja, przybywało dóbr cywilizacyj nych.

Chłop powinien obsiewać swoje pole, sprzedawać państwu mięso, mleko, zbo że. Ale równocześnie musi mieć gdzie kupić materiały budowlane, nawóz, olej napędowy, węgiel. Chłop nie może w dzień orać w polu, a w nocy stać w ko lejce po podstawowe środki produkcji. Skoro obiecywano mu węgiel — to na leży dotrzymać słowa. Skoro przekonano go, że powinien sprzedać konie, ku pić traktor — to trzeba umożliwić mu kupienie tyle oleju napędowego, by w terminie mógł wykonać wszystkie pra ce w polu.

Gości mi wojewódzkich zjazdów ZSL w Gorzowie i Zielonej Górze byli przed stawiciele władz centralnych i wojewódz kich. Na obu zjazdach wybrano nowe władze i delegatów na X Kongres ZSL. Przewodniczącym Wojewódzkiego Ko mitetu ZSL w Zielonej Górze został po nownie Janusz Tomawski. W Gorzowie funkcję przewodniczącego WK ZSL po wierzono Stefanowi Szymańskiemu.

Gorzowska organizacja ZSL liczy 10.147 członków, w tym 56,5 proc. chłopów. W Zielonogórskim do ZSL nale żą 11.063 osoby, w tym 47,7 proc. chłopów. W Gorzowskim są 573 koła, w Zielonogórskim — 734 koła ZSL.

(as)

Zaodra

Wysoka ocena szeregów NSPJ

Rok 1987 charakteryzował się dalszym ilościowym i jakościowym wzrostem szeregów Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności. Jak podano w sprawozdaniu z posiedzenia Biura Politycznego KC NSPJ, które w styczniu br. zapo znało się ze stanem organizacyjnym par tii, pod koniec 1987 r. liczyła ona łącz nie 2.328.331 członków i kandydatów sku pionych w 59.531 organizacjach podsta wowych. W ciągu roku przyjęto ogół em 58.057 nowych kandydatów. W efek cie tego łączna liczba członków i kan dydatów NSPJ wzrosła o 6.156 osób. Po zwolnieniu to — jak się podkreśla w sprawo zdaniu — na zachowanie wysokiej ja kości szeregów partyjnych.

W obecnej strukturze 58,1 proc. stanowią robotnicy, w tym 37,6 proc. robotnicy bezpośrednio produkcyjni. Na stępna pod względem wielkości grupę zawodową w NSPJ stanowią inteligencja — 22,3 proc., a w dalszej kolejno ści emeryci — 15 proc., chłopci — 5 proc., studenci — 2,2 proc. i gospodynie do mowe — 0,8 proc.

Jak podkreślono, rozwój ilościowy i jakościowy partii stanowi przedmiot sta lej troski okręgowych organizacji par tyjnych, które w swojej codziennej dzia łalności poświęcają szczególnie dużo u wagi społecznej strukturze jej szeregów. Mimo tego w 1987 r. w porównaniu z rokiem poprzednim nastąpił niewielki wzrost średniego wieku członków i kan dydatów partii. Obecnie wynosi on 45 lat i jest wyższy o 0,2 lata w porówna niu z końcem 1986 r. Należy jednak są dzić, że zjawisko to ma charakter prze ciwowy. Największą bowiem grupę wie kową w NSPJ stanowią członkowie mie dzy 31 i 40 rokiem życia, a więc stosun kowo młodzi, co jest szczególnie korzyst ne. Ponadto, co również zasługuje na u wagę, zmalała nieco liczba członków w wieku powyżej 40 lat. Najbardziej jest to widoczne w przedziale wiekowym od 51 do 60 lat. Korzystnie kształtuje się także udział kobiet w ogólnej struktu rze partii. Pod koniec ub. r. było ich aż 824 tys. czyli 36,2 proc. ogółu człon ków.

Członkowie partii pracują praktycznie we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej, instytucjach państwowych, placówkach służby zdrowia, nauki, oświaty i kultury. Najwięcej jednak jest zatrudnionych w podstawowych gałęziach gospodarki narodowej, takich jak przemysł i budownictwo.

Czy „Adidas” i „Boss” wejdą na rynek NRD?

NRD zamierza pozyskać dla własne go rynku zachodniemieckich potentów gospodarczych. Pierwszym z nich jest „Adidas” — znany w świecie pro ducent artykułów sportowych, zaś dru gim — renomowany producent odzieży wysokiej jakości „Boss”. Nasi zachodni sąsiedzi liczą na to, iż dzięki tej koope racji uzyskają spore wpływy dewizowe oraz nowoczesną technologię, w zamian za co oferują zachodniemieckim par tnerom otwarcie swojego rynku.

Jak wynika z doniesień prasy zachod niemieckiej i zachodnioblińskiej, rozmowy na ten temat są już poważnie zaawansowane. W Berlinie przebywali przedstawiciele „Adidas”, którzy oma wiali możliwości wzajemnej współpracy. Zachodniobliński BERLINER MORGENPOST pisał, iż najpierw roz pocznie się produkcję wyrobów tekstyl nych „Adidas”. Następnie zakres pro dukcji zostanie rozszerzony do pełnej

kolekcji w roku 1989. Dotychczas wyro by „Adidas” można było w NRD kupić jedynie w „Intershopsach” (odpowiednik naszego Pewexu) za walutę zachodnią. Produkcja licencyjna przewidziana jest głównie na zaspokojenie potrzeb rynku krajowego, część eksportowana będzie do krajów EWG. Jednocześnie przypo minają się, że RFN-owska firma posiada już duże doświadczenia we współpracy z krajami socjalistycznymi. W Związku Radzieckim, Bułgarii i na Węgrzech produkuje się licencyjne wyroby „Adi-dasa”.

Kościół Ewangelicki

pragnie rozmawiać

z władzami

Po 10-letniej przerwie Kościół Ewan gelicki w NRD pragnie znowu prowa dzić dialog z kierownictwem państwa na temat zagwarantowanych przez kon stytucję swobód sumienia i wyzna nia. Jak oświadczył w wypowiedzi dla rozgłośni DEUTSCHLANDFUNK biskup Gottfried Forck powyższe rozmo wy muszą jednakże poprzedzić otwarte dyskusje na temat systemu kształcenia i wychowania dzieci i młodzieży w NRD. Jednak do tej pory tego rodzaju dyskusje nie miały miejsca.

Biskup Forck określił Kościół Ewan gelicki w NRD jako jedną instytucję w tym kraju, która stwarza możliwości prezentowania również innych poglą dów niż prezentowane przez państwo. Jednakże po zajęciach w berlińskim ko ściele Syjonu wyłania się również pyta nie, do jakiego stopnia Kościół ma swym autorytetem wspierać to, co w jego łonie prezentują poszczególne gru py. Ten problem będzie najprawdopo dobnie istniał dopóty, dopóki w NRD nie dojdzie do „większej pluralistycznej otwartości”.

Pozew do sądu przeciwko

redaktorowi naczelnemu

Junge Welt

Mieszkanca Berlina (Wschodniego) Vera Wollenberger wystąpiła do sądu z pozwem o obrazę i zniesławienie prze ciwko redaktorowi naczelnemu JUNGE WELT — pisze DPA. Na ten jedyny w swoim rodzaju w NRD krok pani Wo lenberger zdecydowała się po tym, jak redaktor naczelny tego młodzieżowego dziennika Hans-Dieter Schuett w swoim komentarzu wrzucił do jednego worka kryminalistów-skinheadsów, tzw. warty przestrogi, organizowane przez nieza leżne grupy pokojowe i młodych litera tów. Prokuratura berlińska obiecała za jąć się całą sprawą.

Tymczasem w Berlinie Zachodnim wszczęto postępowanie prokuratorskie przeciwko co najmniej siedmiu skinhead som, którzy najprawdopodobniej brali udział w napaści na uczestników kon certu rockowego w berlińskim (wschód) kościele Syjonu — pisze dalej DPA. Nadburmistrz Berlina Zachodniego Eberhard Diepgen otrzymał w grudniu ubr. list od pastora z owego kościoła, który prosi o wszczęcie postępowania prokuratorskiego. Czterech skinheadów z Berlina (Wschodniego), którzy dopuścili się czynnych napaści w dniu 17 paź dziernika ubr. w kościele Syjonu zosta ło skazanych w procesie rewizyjnym na kary od półtora do czterech lat wię zienia.

Również ukazująca się w Berlinie Wschodnim gazeta „Berliner Zeitung” wyraziła opinie, że za całą akcją stali zachodnioblińscy skinheads. „Przed kościołem Syjonu i w jego wnętrzu grasowały nie tylko namiastki; obecne i niezwykle aktywne były oryginały — skinheads z Berlina Zachodniego. Stamtąd powiał wiatr i każdy może sobie wyobrazić, do jakich doszłyby har ców, gdyby nie położono temu kresu” — czytamy w komentarzu tego dzien ni ka.

Vera Wollenberger wystąpiła z wnio skiem oskarżycielskim przeciwko redak torowi naczelnemu JUNGE WELT w prokuraturę wschodnioblińską dziel nicy Śródmieście. Jest ona aktywną uc zestniczką ruchu zwanego „Kościół oddolny” i byłym członkiem NSPJ.

W kwestionowanym komentarzu JUNGE WELT można było przeczytać: „Wróg, niezależnie od tego czy z mi sjonarskim zapalem szczuje na nas mło dych „literatów”, czy też w postaci „strażnika przestrogi” jest zawsze punk tualnie jak na zamówienie z kamera mi telewizyjnymi przed bramami ko ściół czy też uzbiera chuliganów w faszystowskie słownictwo i w pałki — ten wróg nie ma u nas żadnych szans”.

Obok NEUES DEUTSCHLAND dzien nik JUNGE WELT licząca się do gazet o najwyższym nakładzie w NRD. Jest on skierowany głównie do młodzieży, studentów i uczniów.

Zaklaba

Minister-rewizjonista

Tuż przed wizytą ministra spraw za granicznych Republiki Federalnej Niemiec Genschera w Warszawie, jego ko legę z koalicyjnej CDU, minister oświa ty Badenii — Wirttembergii Gerhard Mayer-Vorfeld wystąpił na forum kra jowego parlamentu z tezami negocjującymi powojenne granice w Europie. Według niego układ zawarty pomiędzy RFN a Polską z 1970 r., jak i układy z innymi państwami socjalistycznymi, nie zmieni ły „prawnej” sytuacji, w której Śląsk, Pomorze, Warmia, Mazury i radziecki okręg Kaliningradu to nadal „niemieckie ziemie wschodnie”, gdyż są one ja koby częścią Niemiec w granicach z 1937 r. i nie zostały zwolnione z przy należności do Rzeczy Niemieckiej. Cha decki minister twierdzi też, że „niemieck a ludność” tych ziem nadal posiada niemieckie obywatelstwo. Dlatego też jego zdaniem nie wolno w żadnym wy padku mówić o byłych ziemiach wscho dno-niemieckich, lecz tylko o „ziemiach niemieckich za Odrą i Nysą”. Mayer-Vorfeld sprzeciwił się również stanow czo włączeniu do programów szkolnych wspólnych zaleceń naukowców z PRL i RFN, usuwających z podręczników fa lszę o historii stosunków polsko-niemiec kich. Oznacza to, że młodzież jednego z największych krajów związkowych (Badenia — Wirttembergia ma około 9,5

miliona ludności) dalej będzie wychowy wana w duchu antypolskiego rewizjo nizmu. Ten sam minister oświaty wsta wił się zaleceniem obowiązkowej nauki w szkołach w tym kraju wszystkich zwrotek osławionego hymnu niemieckiego „Niemy, Niemcy ponad wszyst ko”. W granicach Mozy po Niemem, od cieśnin Bałtyku po Górna Adygę. Najle piej poglądy Mayera-Vorfelda określiła neohitlerowska NDP oferując mu miej sce w swych szeregach, ponieważ wy raża on stale poglądy prawie całkowicie zbliżone z jej programem. W toczącej się obecnie kampanii przedwyborczej przed wyborami krajowymi, które odbędą się 20 marca br. Mayer-Vorfeld nie ustannie głosi na wiecach swe nieprze jednane, jak to sam określa, „czyste nie mieckie” stanowisko o granicach wscho dnych.

Dom „Niemieckiego

Wschodu”, w Monachium

Od 1970 r. w XIX-wiecznym budyn ku pod numerem 5 przy bocznej ulicy Am Lillenberg w pobliżu Centrum Kul turalnego w Monachium funkcjonuje placówka pod nazwą „Dom Niemieckie go Wschodu”. Umieszczono ją tu na mocy uchwały wszystkich frakcji parla mentarnych w bawarskim Landtagu. Zgodnie ze statutem do zadań „Domu” należy „pielegnowanie i rozwój życia kulturalnego wypędzonych i uciekinie rów”.

Kierownikiem tej placówki jest dr Horst Kuehnel. Roczny budżet „Domu” wynosi 700 000 DM. Po odliczeniu wy datków na utrzymanie placówki oraz opłacenie jej 13 pracowników etatowy ch, na „własność działalności kultural ną” pozostaje tylko około 100 000 DM. Za te pieniądze nie można oczy wiście zbyt wiele zdziałać, zwłaszcza, że placówka obejmuje swoją działal nością całą Bawarię. Mimo to organizu je się około 70 różnych imprez w ciągu roku — wystaw, odczytów, se minariów, koncertów. Corocznie obcho dzi się tu również „Dzień stron zczyszczo nych” (Tag der Heimat). Do tego do chodzi jeszcze w ciągu roku ponad 1000 imprez organizowanych przez róż ne organizacje „wypędzonych”.

„Dom Niemieckiego Wschodu” ma własną ogólnodostępną bibliotekę spe cjalistyczną, liczącą 38 000 tomów. Zgromadzone w niej książki i inne pu blikacje dotyczą historii i kultury „nie mieckich obszarów osiedleńczych i te renów wypędzenia na Wschodzie”.

(x)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ



Zielona Góra 14 II 1945 — 14 II 1988

Fot. Cz. LUNIEWICZ

Co się wydarzyło w muzeum

NUMIZMATY

Poszukując wszelkich informacji o najdawniejszej przeszłości Ziemi nad środkową Odrą, Edward Dąbrowski dość dokładnie przejrzał prasę i książki niemieckie, pozostawione w muzeach. W przedwojennym periodyku dolnośląskim przeczytał, że na początku naszego stulecia archeolog niemiecki w okolicy Zielonej Góry wydobył z ziemi skarb wielkiej wartości historycznej. E. Dąbrowski fakt ten jedynie przyjął do wiadomości. W Europie południowej, częściowo i północnej wielokrotnie odnajdywano dowody obecności Rzymian na ziemiach później należących do innych nacji. Wiek i skarb zielonogórski mógł zaświadczać o związkach mieszkańców Nadodrza z cesarstwem zachodniorzymskim. E. Dąbrowski uważał, że ten skarb trafił do kolekcji przedwojennego muzeum zielonogórskiego i był tam eksponowany.

W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu zielonogórskiego Muzeum Miejskim nadal kierowali Niemcy. Dopiero po ich wyjeździe za Odrę placówkę przejął polski kadra muzealna. Przez wiele następnych lat trzon muzealnictwa lubuskiego stanowili pozostawieni lub mieszkający Wielkopolską, a więc ludzie pracowici, uczciwi, skrupulatni, solidni. Zresztą i obecnie większość pracowników zielonogórskich muzeów to absolwenci Uniwersytetu Poznańskiego.

Nim w 1957 r. doszło do utworzenia Muzeum Ziemi Lubuskiej jako instytucji okręgowej, Muzeum Miejskie nadal mieściło się w budynku przy ul. Szkolnej (obecnie K. Lisowskiego). Na strychu tego muzeum E. Dąbrowski znalazł lampę oliwną, fragment naczyń metalowych, szklane paciorki i siedem monet. Obejrzawszy je dokładnie stwierdził, że jedna moneta jest wykonana z mosiądzu, a pozostałe, zachowane w idealnym stanie, ze srebra. Poszukiwał, lecz nie odnalazł żadnego dokumentu, który poświadczałby jego przypuszczenie, iż natknął się na skarb odkryty przez Niemców w okolicy Zielonej Góry. Archeolog w zasadzie nie interesował się przedmiotami, nawet wykonane artystycznie, bardzo rzadkie, złote czy srebrne, jeśli nie zostało określone miejsce i czas ich znalezienia. Dlatego E. Dąbrowski owe monety uznał za numizmaty godne publicznej prezentacji, ale nie dociekań naukowych. Kiedy w 1960 r. Muzeum Ziemi Lubuskiej zorganizowało wystawę w nowo przejętym budynku przy al. Niepodległości, przed gablotą z monetami rzymskimi gromadziło się dużo zielonogórzan.

Remont gmachu trwał długo. Na ten czas zbiory przeniesiono do wielu budynków na terenie województwa. Przedmioty należące do działu archeologicznego E. Dąbrowski umieścił w budynku nadbramnym zamku królewskiego. Tradycyjnie rozumiana działalność muzealna stała się niemożliwa, dla tego większość pracowników Muzeum Ziemi Lubuskiej zajęła się pracą naukową. Zaowocowało to kilkoma doktoratami oraz wieloma artykułami ogłoszonymi w czasopiśmie naukowych i kulturalnych. W 1973 r. do nadbudowanych pomieszczeń gmachu muzealnego powróciły zabytki, a wraz z nimi odnaleziona na strychu starego muzeum pamięćki z czasów cesarstwa zachodniorzymskiego. Na półce pośród przedmiotów nie posiadających metryczek E. Dąbrowski położył monety rzymskie, traktując je nadal jako ciekawostkę numizmatyczną związaną z Zieloną Górą.

Nowe pomieszczenia działu archeologicznego były obszerne, mimo to bardzo szybko zaczęło brakować wolnej powierzchni magazynowej. E. Dąbrowski prowadził intensywne prace wykopaliskowe, zwoził do Zielonej Góry ogrom-

ne ilości przedmiotów, które należało oczyścić z zabrudzeń, opisać, niektóre przygotować do wystawienia. Poprosił więc dyrektora Eugeniusza Jakubaszka o to, by zatrudnił w dziale archeologicznym jeszcze jednego pracownika. Akurat w tym czasie poszukiwał pracy Janusz K., który wydał się E. Dąbrowskiemu człowiekiem solidnym, skromnym i przede wszystkim chętnym do pracy. Potwierdziło to się w trakcie prac wykopaliskowych, gdy wiele razy we dwóch wydobywali z ziemi dokumenty przeszłości. E. Dąbrowski ma w sobie coś z pedagoga, potrafi rozbudzić w młodych ludziach zainteresowanie archeologią. Umie barwnie opowiadać o przedmiotach wykopaliskowych pod Polupinem, Starym Dworkiem, Pache-



Fot. Cz. LUNIEWICZ

wem. Pomiędzy nim i młodym laborantem nigdy nie było żadnych spiek czy nieporozumień. Janusz K. mógł do woli przebywać w magazynie działu, pytać starszego kolegę o wszystko, co się wiąże z archeologią, byle nie zaniedbywał swoich powinności. Oczywiście Janusz K. zainteresował się monetami rzymskimi. Kto by nie zwrócił na nie uwagi, skoro leżały na widocznym miejscu i wyglądały jak nowe! Niektórzy uważali, że nie są to monety oryginalne, pochodzące z mennic rzymskich, lecz wykonane później doskonałe fałszyfikaty.

Pewnego dnia po powrocie z wykopaliska E. Dąbrowski wszedł do magazynu i pierwsze co zauważył, to brak monet. Zajął więc za naczynia, pod regał, odtworzył w swojej pamięci zdarzenia z ostatnich miesięcy. Był przekonany, że poza Januszem K. nikt nie wchodził do magazynu, ale nie podejrzewał go o kradzież. Mimo to zebrał się na odwagę i spytał laboranta, czy nie wziął monet. Janusz K. zaprzeczył. O zaginięciu numizmatów E. Dąbrowski powiadomił dyrektora E. Jakubaszka. Znajdą się, uspokoił go dyrektor. Może położył je pan w innym miejscu? Pan jest taki roztrzępany... dodał E. Jakubaszek niewiele sobie robiąc ze zmartwienia archeologa.

Na początku 1983 r. sulechowska milicja powiadomiła telefonicznie Muzeum Ziemi Lubuskiej, że jest w posiadaniu dużej ilości monet o wartości historycznej. Zdaniem milicji, tego rodzaju przed-

mioty powinny być zdeponowane w muzeum państwowym do czasu, kiedy zostanie określona ich faktyczna wartość. Po odbiorze monet pojechała Barbara Zyza, kierowniczka gabinetu numizmatycznego. Okazało się, że w czasie prac budowlanych robotnicy znaleźli garnek metalowy, z którego wysypały się monety, na pierwszy rzut oka — srebrne. Wiadomość o znalezieniu skarbu dotarła do milicji, jak to bywa w takich przypadkach, drogą okrężną i dopiero wtedy, kiedy budowlani rozdzielili monety między siebie. Mimo to milicja szybko odzyskała skarb; czy w całości, nie wiadomo.

B. Zyza poświadczyła własnoręcznym podpisem przejęcie w depozyt 603 monet. W obecności milicjantów poseregowała je do dziesięciu kopert, zapisując na każdej kopercie nazwisko osoby, od której milicja odebrała już rozdzielone monety oraz ich ilość. Ponieważ monety były zanieczyszczone, nawet specjalista tej klasy co B. Zyza nie mógłby stwierdzić, jakie one miały wartości nominalne. Była przekonana, że ma do czynienia ze skarbem, a jego odkrycie uznawała za wydarzenie wielkiej

wagi, przynajmniej dla historyka. Nie często się zdarza, by w ręce muzealnika dostał się taki skarb.

Po powrocie do muzeum, B. Zyza cały skarb umieściła w szafie metalowej, w której przechowywała najcenniejsze nabytki. Klucz do szafy włożyła do szuflady swojego biurka. Drzwi gabinetu numizmatycznego, jak i drzwi pozostałych pomieszczeń muzeum, były zamknięte na dwa zamki patentowe. Jeden komplet kluczy nosiła przy sobie kierowniczka gabinetu, drugi — znajdował się w pokoju dyrektora, trzeci — wisiał na haczku w oszklonej gablotce w portierni.

16 marca 1983 r. B. Zyza w towarzystwie milicjanta zaniosła skarb sulechowski do bieżącego julekiera po to, by go wycenił, lecz nie pod kątem numizmatycznym, a jubilerskim. Ekspert zważył monety i orzekł, że wartość kruszcza, z którego zostały wykonane, wynosi pięć dziesiąt tysięcy złotych. Przy okazji jubiler oczyścił chemicznie dwie monety duże prosząc B. Zyzę, by obserwowała ich zachowanie po tym zabiegu. Monety wróciły do szafy metalowej, jak po przednio zamkniętej na klucz przechowywany w szufladzie biurka.

Wiadomość o przejęciu skarbu rozszalała się po muzeum natychmiast. Do gabinetu numizmatycznego przychodzili pracownicy Muzeum Ziemi Lubuskiej, by obejrzyć monety. Nieczęsto bywa, by jednego dnia aż tyle monet znalazło

ciąg dalszy na str. 5

Z dziejów Polski Ludowej MIKOŁAJCZYK i jego stronnictwo

JAN GOLEC

Opozycja legalna w Polsce Ludowej ukształtowała się po powrocie z Londynu Mikołajczyka i po ujawnieniu się kierownictwa SL „Roch”. Do lipca 1945 r. istniały dwa stronnictwa ludowe: SL i SL „Roch”. Początkowo Mikołajczyk nie miał zamiaru stworzenia odrębnego stronnictwa, był pewien, że opanuje cały ruch ludowy. Rozmowy z działaczami SL i „Rocha” doprowadziły w lipcu 1945 r. na konferencji w Krakowie do powołania NKW SL, w którym czołowa rola przypadła Mikołajczykowi. Następnym krokiem ze strony Mikołajczyka była próba wchłonięcia i ewentualnie likwidacja lewicowego SL. Stojąca na pozycjach radykalnych większość kierownictwa SL odrzuciła jednak zasady porozumienia wysunięte przez Mikołajczyka. W tej sytuacji Mikołajczyk zdecydował się na utworzenie w dniu 22 sierpnia 1945 r. nowego stronnictwa pod nazwą PSL.

W sensie ideowo-politycznym i społecznym PSL nawiązywało do konspiracyjnego SL „Roch” i do tradycji przedwojennego PSL „Piast”. Tezy polityczne adresowane były do wszystkich przeciwników władzy ludowej, z wyjątkiem skrajnej prawicy podziemnej, choć i ona była skłonna traktować Mikołajczyka jako „mniejsze zło”. Cele polityczne, jakie stawiał Mikołajczyk, opierały się na następujących założeniach:

- po pierwsze, że utworzenie jednej, potężnej partii chłopskiej, wsparte przez tendencje i siły prawicowe w innych partiach i środowiskach społecznych, pozwoli stworzyć w krótkim czasie silną przeciwwagę dla PPR i innych partii bloku demokratycznego (PPS, SL i SD) oraz podważyć, osłabić, a nawet rozbić ich współdziałanie;
- po drugie, że uzyskanie pozycji w rządzie i aparacie państwowym pomogą w zdobyciu dalszych wpływów i wesprą akcję polityczną;
- po trzecie, że ogólna sytuacja w kraju nie będzie ulegać stabilizacji, lecz pogarszać się wskutek ogromnych trudności gospodarczych i politycznych, aktywizacji podziemia zbrojnego itp.;
- po czwarte, że na arenie międzynarodowej sprawa Polski będzie wywoływała i pogłębiała sprzeczności między ZSRR a mocarstwami zachodnimi;
- po piąte, liczył, że silna partia chłopska mająca poparcie polityczne Zachodu i kontrrewolucyjnego podziemia zbrojnego, umożliwi mu odniesienie zwycięstwa nad PPR i pozostałymi partiami bloku demokratycznego, co w konsekwencji miało oznaczać przejęcie władzy w Polsce przez siły prawicowe.

Mikołajczyk — nie negując ze względów taktycznych konieczności utrzymania przyjaznych stosunków z ZSRR, starał się ustnie o to, aby w opinii społecznej uchodził za męża opatrnościowego, orientującego się na Zachód oraz cieszącego się pełnym zaufaniem i poparciem mocarstw sojuszników. Na podstawie tych założeń przewidywał, że w konsekwencji PSL kierowane przez Mikołajczyka, mające za sobą większość chłopów, drobniomieszczaństwa i inteligencji, wygra wybory do Sejmu Ustawodawczego i utworzy nowy rząd, częściowo lub całkowicie rujnąc z niego komunistów i lewicę.

PSL nie mogło otwarcie występować przeciwko takim przemianom ustrojowym, jak reforma rolna czy nacjonalizacja przemysłu, spotkałoby się to bowiem ze sprzeciwem większości społeczeństwa. Dlatego też głosząc postulat reform, równocześnie domagało się znacznych ulg podatkowych dla drobnej wytwórczości i inicjatywy prywatnej oraz nieingerencji państwa w obrót towarowy — zwłaszcza między miastem i wsią. Nie występowało otwarcie przeciwko nacjonalizacji przemysłu, postulowało ograniczenie jego zasięgu i pozostawienie w rękach prywatnych całego przemysłu średniego — zakładów zatrudniających poniżej 100 osób na jedną zmianę.

Odcinając się formalnie od reakcyjnego podziemia, a zwłaszcza Narodowych Sił Zbrojnych, domagało się likwidacji ministerstw: Informacji i Propagandy oraz Bezpieczeństwa Publicznego. Milicję proponowano podporządkować Ministerstwu Administracji Publicznej, kierowanemu przez działacza PSL. Posłowie PSL w Krajowej Radzie Narodowej wielokrotnie występowali w obronie nielegalnych organizacji, określając ich terrorystyczną działalność jako reakcję przeciwko reformom „nadużyłcom” ze strony organów bezpieczeństwa. Opozycyjność tej partii wobec władzy ludowej oznaczała przyjęcie całego ciężaru walki z obózem demokratycznym, kierowanym przez PPR. Powstał w ten sposób ośrodek opozycji politycznej, do którego garnęli się wszyscy niezadowoleni z władzy ludowej, a znalazło się jednak wielu. W szczytowym okresie działalności, tj. na początku 1946 r. na terenie kraju PSL liczyła około 600 tys. członków, czyli o 100 tys. więcej niż obie partie robotnicze PPR i PPS razem wzięte. PSL była partią najsilniejszą na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich. Wśród zwolenników PSL znaleźli się nie tylko b. obszarnicy i kapitaliści, nie tylko drobniomieszczaństwo, inteligencja, czy bogate chłostwo. Sympatią cieszył się ten ruch wśród duchowieństwa i młodzieży.

ZRÓDŁA TEJ ŻYWIŁOWEJ POPULARNOŚCI PSL

tkwały niewątpliwie w silnym przywiązaniu chłopów do ideologii agraryzmu, w niezrozumieniu i niechęci do polityki i ideologii komunistycznej. Nie pozostawały też bez wpływu różne straszaki propagandowe, w rodzaju Polski komunistycznej, 17 republiki, kolektywizacji. Wykorzystywano uczucia religijne społeczeństwa. W tym celu propaganda kontrrewolucyjnego podziemia, a wraz z nią PSL posługiwała się argumentem, iż „PPR to komuniści, którzy prowadzą walkę z kościołem”.

PPR wraz ze swymi sojusznikami stanęła na stanowisku budowy państwa socjalistycznego, dla idei którego szukała zwolenników wśród najszerzych warstw narodu. Komuniści nie mogli się zgodzić na przemiany jedynie w duchu demokratycznym, które dla prawicy ruchu ludowego miały być celem strategicznym. „Bądźmy szczerzy” — nawoływała prasa PSL, polemizując z teorią walki klas, jako elementem zasadniczym w procesie rozwoju społeczeństwa. „Rozum chłopski” — pisał organ NKW PSL — na miejsce walki klas stawia solidaryzm społeczny i ideę chrześcijańskiego braterstwa”. Natomiast w sprawie współpracy z komunistami i socjalistami dodawało, że „z robotnikami idziemy i podziemiemy zawsze na Polskę demokratyczną i przeciw wszelkiej reakcji, ale ani PPS, ani PPR w ich dążeniu do Polski socjalistycznej popierać nie będziemy”.

PSL jako partia chłopska — w sensie składu społecznego — była również partią, której działalność polityczna odpowiadała interesom sił kontrrewolucyjnych, a nie tylko szerokich mas chłopskich. Na łamach organu PSL „Chłopski Standard” postulowano zachowanie gospodarstwa wielkości 5—100 ha. Naturalnie takie koncepcje oznaczały wówczas akceptację stosunków kapitalistycznych na wsi w rejonach nadodrzańskich i nadbałtyckich, co w sposób ewidentny rozbiegało się z wymogami społecznymi programu władzy ludowej. Dlatego działacze PPR, jak również SL odrzucili te koncepcje, odwołując się m.in. do „Wytuczonych reformy rolniej” opracowanych wiosną 1944 r. przez Zarząd Główny Związku Patriotów Polskich w ZSRR, gdzie przewidziano górną normę 5 ha użytków rolnych dla gospodarstwa jednorodzinnego. Wychodzono z założenia, że realizacja polityki rolnej na ziemiach Zachodnich i Północnych ma służyć poprawie struktury rolnictwa w skali ogólnokrajowej. Proponowana przez PSL droga rozwoju stosunków agrarnych na wsi prowadziłaby do bogacenia się stosunkowo nielicznej warstwy wyzyskiwaczy wiejskich kosztów biedoty chłopskiej, wzmacniałaby elementy reakcyjne w miastach, utrudniałaby odbudowę wsi oraz zagospodarowanie i zaludnienie Ziemi Odzyskanych, nie mówiąc już o politycznych niebezpieczeństwach dla władzy ludowej.

ciąg dalszy na str. 4

MIKOŁAJCZYK i jego stronnictwo

Ciąg dalszy ze str. 2

Sprawę uregulowano w sposób zasadniczy dekretem z 6 września 1946 r. o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze ziem Zachodnich i Północnych i byłego Wolnego Miasta Gdańska. Dekret ustalał, że w zależności „od warunków glebowych, terenowych, klimatycznych i ekonomicznych” wielkość użytków rolnych przypadających na jedno gospodarstwo wynosić winna zasadniczo 7-15 ha, a przy gospodarstwach hodowlanych do 20 ha.

Kierownictwo PSL nie omieszczało skorzystać z każdej nadarzającej się okazji, by zdyskontować popularność swoich przywódców, zwłaszcza Mikołajczyka, a ośmieszyć prezydenta B. Bierut, premiera E. Osóbki-Morawskiego i innych dostojników partyjno-państwowych. W styczniu 1946 r. w Warszawie odbywał się Kongres PSL, kiedy na mównicę wszedł Bierut, został powitany grzecznościowymi oklaskami. Lecz, gdy zaczął mówić o sprawach ogólnie znanych, opisywanych w prasie rządowej, a zwłaszcza o ujemnych skutkach wpływu rozbięcia ruchu ludowego na jedną obojętną demokratyczną, „na sali obrad zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw zakasłało kilka osób, a potem kaszel ogarnął całą salę (...). Nie kasłali tylko goście z pierwszych rzędów. Bierut na mównicy, widząc że to demonstracja — zamilkł. Jedynie stary wyga Kiernik, przewodniczący Kongresu, nie stracił głosu i zwrócił się do głównego gościa: — Panie prezydencie, zechce pan wybaczyć ten kaszel, ale nasi delegaci jechali na Kongres w nieopalanym wagonach, często z wybitnymi sztykami, więc pozapiekali się, stąd kaszel (...). Na sali rozległy się śmiechy i zaprzeczenia. Ale Bierut już się opanował, szybko dokończył przemówienie i wkrótce opuścił salę wraz z otoczeniem”.

Jeszcze gorzej przyjęto B. Podedwornego z konkurencyjnego SL. Ledwie zdążył powitać Kongres „rolegia się nieopisaną wrzawą i gwizdami. Delegaci powstawali z miejsc i wrzeszczeli: precz, zdradca, wyrzucić go (...). Miał też wystąpienie Mikołajczyk, mówił o konieczności walki o „prawdziwą” niepodległość i demokrację, oklaskiwano go co chwila bardzo gorąco. W toku obrad mało było głosów konstruktywnych, górę wzięły emocje, chęć dyskredytacji władzy ludowej za wszelką cenę. Mówców starannie dobierano, a cały przebieg Kongresu był z góry „wyreżyserowany” i miał charakter szopki politycznej. Delegat z Kaszub krytykował peperowską koncepcję wspólnego bloku wyborczego do Sejmu Ustawodawczego. Posługiwał się ironią i dowcipem. „My na tej sali mamy najlepszy znak, że należy iść do wyborów oddzielnie. Spójrzcie na te litery, tu wskazał na wiszący nad sceną napis — trzy wielkie litery PSL i ciągnął dalej. Wiedcie, że oznaczają one Polskie Stronnictwo Ludowe, ale jak będziecie czytać odwrotnie, od tyłu to znaczy — Lepiej Samemu Pójść. Wybuchł huragan śmiechu i oklasków. Sala dłuższy czas nie mogła powrócić do poprzedniej powagi”.

Partie robotnicze PPS i PPR, a zwłaszcza ta ostatnia, już w sierpniu 1945 r. prawidłowo oceniły przemiany w ruchu ludowym. Mimo to do jesieni 1945 r. można zaobserwować pewne niezdeterminowanie. Rozwijano wprawdzie akcję propagandową, prasową, protestacyjną itp. wokół „rosnącej reakcji”, ale nie precyzowano metod jej zwalczania. Wydaje się, że wierzono w skuteczność akcji propagandowej.

WIERZONO, ŻE UDA SIĘ UTRZYMAĆ JEDNOŚĆ RUCHU LUDOWEGO

tym bardziej że jego działacze składali jednoznaczne deklaracje za współpracą, za sojuszem robotniczo-chłopskim. W liście otwartym SL do PSL jest zawarta ostra krytyka Mikołajczyka za dokonanie rozłamu w ruchu ludowym, znajdujemy tam słowa potępienia wiceprezesa PSL — S. Bańczyka, za jego wystąpienie na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej, gdzie określił on działalność podziemia politycznego i zbrojnego „samoobroną społeczeństwa”. Chłopi z PSL — czytamy w liście „czy który jeszcze idziecie za Mikołajczykiem. Czy nie wystyd Wam za takich przywódców? Od lat walczymy razem o ideały społeczne o najwyższe wartości moralne człowieka, jakże to moralność reprezentuje PSL? (...) Jakaż to partia ludowa, demokratyczna, której najwyżsi przywódcy chwycili bandy z trybuny poselskiej. Cóż to za ludowcy, którzy ściągają hańbę na prawdziwych ludowców, chowają u siebie broń i chodzą na tów razem z bandami. Pod skrzydłami pa na Mikołajczyka obszarzyli z Urzędów Ziemskich obrastają sadłem, a po wsiach krąży szeptana propaganda — nie staj, nie oraj ziemi, nie stawiaj budynków, bo i tak będą tworzone kołchozy. Albo straszysz młodzież — nie jedź na Zachód, nie bierz gospodarki po Niemcach, bo i tak będzie wojna”. Na I Zjeździe PPR minister przemysłu i handlu, H. Minc zarzucił działaczom PSL, że prowadzą agitację antykomunistyczną zmierzającą do podważenia sojuszu polsko-radzieckiego. Wyraził też przekonanie, że dzięki współpracy z ZSRR: „będziemy krajem, gdzie dość będzie żywności, odzieży, obuwia, opału, energii elektrycznej, mebli i tego wszystkiego, co jest potrzebne do życia cywilizowanego człowieka”.

Trudności gospodarcze, głównie niedostateczne zaopatrzenie miast w żywność i artykuły przemysłowe, występujące tu i ówdzie, chwilowo bezrobocie były wykorzystywane przez siły reakcyjne. O ile w taktyce podziemia dominowała walka zbrojna, sabotaż rozporządzeń władzy ludowej, próby wywołania zamieszek i strajków, to w działalności PSL na plan pierwszy wysuwała się walka polityczna. Na wsi reakcyjna propaganda skłoniła część chłopstwa do uchylania się od obowiązków świadczących.

W marcu 1946 r. na konferencji Związku Samopomocy Chłopskiej, R. Zambrowski przytoczył następujące dane. W 1944 r. na obszarze Polski „lubejskiej” zebrano 600 tys. ton zboża, a w 1945 r. na terenie całej Polski zebrano „ściagnąć” za ledwie 540 tys. ton. Na tej samej naradzie, zabierając głos Gomulka, za najwęższe zadanie pracy partyjnej na wsi uznał „oderwanie od PSL przynajmniej części chłopów”. Z jego wypowiedzi wynikało, że z obowiązkowych dostaw nie wywiązują się głównie bogaci chłopi i to w tych powiatach, gdzie starosta był członkiem PSL. Gomulka dowodził, że „najlepiej podburzyć człowieka głodnego, ot widzieć, gdyby rząd był inny, byłoby znacznie lepiej”. Ten stan rzeczy wykorzystywał PSL winiąc za wszystkie niedostatki „niekompetentnych bo niedouczone” peperowskich ministrów.

Głównym atutem propagandowym PPR były realizowane reformy społeczno-ekonomiczne. Należało wyjaśnić szereg tzw. wątpliwych spraw, drażliwych problemów, związanych w tym czasie z brakiem chleba i innych artykułów pierwszej potrzeby, z koniecznością wielu wyrzeczeń itp. Propaganda bloku demokratycznego (PPR, PPS, SL, SD) broniła sojuszu ze Związkiem Radzieckim, uzasadniała celowość i konieczność czasowego stacjonowania wojsk radzieckich na terenie Polski, podkreślała historyczną słusność i sprawiedliwie rozwiązanie sprawy granicy wschodniej w oparciu o tzw. linię Curzona. Władze PPR stały na stanowisku, że PSL jest „partią kulaka”, ale przestrzegano przed uprzedmiotawianiem, bowiem w szeregach PSL jest także „dużo chłopów mało- i średniorolnych, oraz inteligentów pracujących”. Partia postulowała w związku z tym, aby nie traktować całego PSL jako polskiej reakcji, lecz walkę z PSL należy prowadzić przede wszystkim drogą szerokiej kampanii uświadamiającej masy chłopskie oraz pracującą inteligencję, która przypadkowo znalazła się w szeregach PSL.

Również PPS poświęcała wiele uwagi sytuacji w ruchu ludowym i ocenie wydarzeń politycznych w kraju. List przewodniczącego CKW PPS, E. Osóbki-Morawskiego zatytułowany „Drogi Obywatelu!”, podkreślał potrzebę ogólnonarodowego porozumienia i pojednania w imię interesu nadzadnego dobra socjalistycznej Polski. Czytamy tam m.in. „Otoż po pierwsze nie myśl, że jestem zadowolony ze wszystkiego co się w Polsce dzieje. Wiem doskonale, że nie jest jeszcze dobrze, bo nie mogło być dobrze od razu. Ale patrzę w przyszłość i powiadam: musi być lepiej. Czego potrzeba Polsce, żeby mogła żyć i rozwijać się, przede wszystkim pokoju, a nie bratobójczych walk oznaczających ruinę kraju”. Szczególnie eksponowanym fragmentem listu była sprawa ziem Zachodnich i Północnych Ziemi Zachodniej w naszym ręku — pisał Osóbka, „to nie tylko siła Polski, ale i słabość Niemiec”.

Osóbka stwierdzał, że konieczna jest jedność narodu, „rozmawiałem nie raz o tym z Mikołajczykiem i tłumaczyłem mu potrzebę jednej drogi. Niestety tego

Ciąg dalszy na str. 5

Ciąg dalszy ze str. 1

wentualnym uczuleniu na leki. Czasem przyjeżdża karetka pogotowia, chory jest zbyt słaby, by mówić, rodzina zbyt zdenerwowana. Zapisy w książeczce zdrowia pozwoliłyby na szybszą i trafniejszą decyzję lekarza.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Wspominałem o Społecznym Komitecie Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc. Na naszym terenie taki komitet powstał w 1962 roku i obecnie, poza zielonogórskim, obejmuje także województwa gorzowskie i legnickie. Przed laty znalazłem się w gronie założycieli tej organizacji i od początku pełnię funkcję wiceprezesa zarządu okręgu.

— Co robi ten komitet?

Dr JANUSZ ENDERLE: — Organizuje oświatę zdrowotną. Stara się oddziaływać uświadamiająco poprzez sioły drukowane, plakaty, filmy, konkursy na publikacje dziennikarskie. Co roku, zazwyczaj w pierwszej dekadzie grudnia,

mniej prawdziwej, wolnej ziemi, a coraz więcej betonu, aby wygodniej i bezpieczniej było samochodom, również czołowi potrzebny. W powietrzu unoszą się pyły i cząsteczki przeróżnych trujących substancji. W przeszłości popełniono wiele błędów, które teraz odbijają się na zdrowiu narodu. Budowano w pośpiechu hutnictwo i przemysł, nie myślało o stosownych zabezpieczeniach. To też trujące wyziewy płyną teraz falami, niszcząc przyrodę i ludzkie płuca.

— Pomówmy jeszcze o papierosach.

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Słyszałam, że w Finlandii prowadzono badania jakości papierosów produkowanych przez różne kraje i nasze papierozy uznano za najgorsze. Wytwórnice zostały zobowiązane do umieszczania na opakowaniu ostrzeżenia przed skutkami palenia. Podobnie w lokalach gastronomicznych czyta się wywieszki, że alkohol, to wróg... Polskie papierosy są rzeczywiście okropne. Z tytoniu nieuśzlachetnionego, z dużą ilością ciał smółkowych, bez filtra. Jestem za tym, aby papierosy były drogie, ale dobre. Zeby tych najgorszych i najbardziej szkodliwych.

Oddychać głęboko



Lek. med. Barbara Chmielińska: — Najgorszym wrogiem układu oddychania jest papieros!

Dr Janusz Enderle: — Apelujemy o zgłaszanie się na badania radiologiczne!

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

współorganizuje Dni Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc, mające na celu uświelenie społeczeństwa na tę chorobę, która nie leczy się, prowadzi do tragicznego końca, niestety. Od 16 lat wydaje miesięcznik pt. „Walka z gruźlicą i chorobami płuc”.

— Dni walki z gruźlicą. Dzień bez papierosa, Dzień bez alkoholu. Czy zdaniem Państwa takie akcje coś dają?

Dr JANUSZ ENDERLE: — Oczywiście! Wskazują na problem. Przypominają społeczeństwu o tym, że nie jest coś, z czym powinniśmy walczyć. Nie trafiają do wszystkich ludzi, to pewne. Ale są rodzajem alarmów społecznych, sygnałów... I wyrzutem naszych sumień...

— Nie zdołaliśmy skutecznie zwalczyć gruźlicy, ani zapobiec jej rozwojowi, a tu, jak mówi Pani Doktor, zawisł nad nami nowy miecz Damoklesa.

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — I równie groźny! To choroby układu oddychania: przewlekłe nieżyt oskrzeli, rozedma płuc, astma oskrzelowa, ostre stany zapalne płuc, gryźlica, złośliwe nowotwory oskrzeli i to najgroźniejsza z chorób: nowotwór. Na te wszystkie choroby cierpi w Polsce ponad 4 miliony osób i liczba ta będzie wznosić się.

— Przyczyny?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Jest ich wiele. Stykamy się z nimi od rana do wieczora, także w nocy, gdy śpimy. Oddychamy skażonym powietrzem, wprowadzając do płuc straszliwie zanieczyszczenia. Ale najgorszym wrogiem układu oddychania są papierosy. Około 80 procent moich pacjentów, którzy przychodzą z niezbyt ostrymi nowotworami, to dłużej niż palące. Papierosy przyspieszają rozwój wszystkich chorób płucnych, a najbardziej chorób nowotworowych.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Cywilizacja i naturalne środowisko. Wielkie, wciąż narastające nieporozumienie! Sprzecznym interesem! Coraz mniej zieleni i trawników, aby mogły wyrastać domy, tak bardzo ludziom potrzebne. Coraz

liwych, nie wytwarzając wcale. Jeśli ktoś nie będzie stać, to ograniczy palenie lub je rzuci. Co wyjdzie mu na zdrowie. W RFN paczka papierosów, zawsze z filtrem, bo innych tam się raczej nie spotyka, kosztuje 4 marki, czyli tyle, ile cztery pary rajstop. U nas papierozy są tanie, więc wszędzie, dokąd nie wejść, nie brakuje palących. Papierosowe oddechy czuje się nawet w autobusie... Doktor Enderle uśmiecha się. Tak, przyznaję. Kiedyś paliłam. Zresztą i on też palił. Teraz już nie palimy.

Dr JANUSZ ENDERLE: — W USA i krajach Skandynawii w ciągu ostatnich trzech lat palenie papierosów porzuciło 60 procent pracowników służby zdrowia. Odechodzą od palenia w miarę, jak postępują badania i dociekania nad związkami przyczynowymi chorób płuc, zwłaszcza chorób nowotworowych, z paleniem tytoniu.

— Jako niepaląca w ogóle i nigdy do dam, że choć w produkcji papierosów jesteśmy ostatni, to w ich paleniu utrzymujemy się podobno w światowej czołówce.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Chcę po wiedzieć jeszcze parę słów o organizacji leczenia gruźlicy i chorób płuc. Zaraz po wojnie, gdy społeczeństwo było wyniszczone, gruźlica dawała o sobie znać bardzo gwałtownie. Rozpoznawanie innych chorób płucnych było wówczas trudniejsze, niż dziś. Powstawały więc poradnie przeciwgruźlicze, a z biegiem lat utworzył się system poradnictwa: od placówek terenowych, poprzez wojewódzkie — obecnie należące do Zespołów Opieki Zdrowotnej, po działające od 1945 roku Instytut Gruźlicy, który przed rokiem zmienił nazwę na Instytut Gruźlicy i Chorób Płuc.

— Proszę opowiedzieć coś o pracy Przychodni, którą Pan kieruje.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Została zbudowana w 1963 roku przy ul. Podgórznej 46. Przenieśliśmy się tu z alei Niepodległości 16. Nowy budynek, jeden z kilkunastu jakie wtedy powstały w kraju, był typowym obiektem przychodni szpitalnej i przed 20 laty spełniał dobrze swe przeznaczenie. Je-

dnak z biegiem czasu, wobec poszerzonych potrzeb, pomieszczenia musiały ulec modyfikacji. Wielkim i dominującym problemem przestała być gruźlica, za to nasiliły się inne choroby płuc. Utworzyliśmy nowe gabinety i nowe poradnictwo dla dorosłych i dzieci. W tej chwili w Przychodni Wojewódzkiej, służącej również samej Zielonej Górze, prowadzimy konsultacje alergologiczne i pneumonologiczne, leczenie aerozolami oraz gabinet badań czynnościowych układu oddechowego. W centrum uwagi jest diagnostyka nowotworów płuc i w tym zakresie prowadzimy konsultacje wielospecjalistyczne. Integralną częścią Przychodni jest dział radiografii, wyposażony w aparat stacjonarny oraz trzy ambulanse radiograficzne, stale penetrujące województwo. Ponadto Przychodnia nasza, którą kieruję od 1961 roku, koordynuje działalność dziesięciu poradni terenowych, w ramach ZOZ.

— Pacjent rejestruje się w przychodni i leczy się w niej. Ale gdy stan jego wymaga dokładniejszej diagnozy, trafia on do szpitala. Czy dużo chorych przebywa w tej chwili na Pani Oddziale?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Aktualnie mamy 42 pacjentów, tyle, ile łóżek. Chorzy na płuca powinni leżeć w przestronnych pokojach, z doskonałą wentylacją, bez ciasnoty, jaka zazwyczaj charakteryzuje nasze szpitale. Niestety, nie zawsze można sprostać tym wymaganiom. Rocznie przez nasz oddział przechodzi 1100 chorych.

— Więc te 42 łóżka wystarczają?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Nie wystarczają. Pacjenci mają możliwość leczenia się również w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Torzymiu, posiadającym około 400 miejsc.

— Jeszcze nim zaczęliśmy rozmowę, powiedziała Pani: jesteśmy oddziałem diagnostycznym. Co to znaczy?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Prowadzimy konsultacje chorób płucnych. W każdy poniedziałek przyjeżdżają pacjenci z terenu województwa zielonogórskiego, czasem też z innych województw. Te spotkania pacjentów z lekarzami trzech specjalności nazywamy w skrócie TOP.

— Wiem: torakochirurg, onkolog, pulmonolog. W ilu przypadkach potwierdza się podejrzenie o to — najgorsze?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Przyjmujemy rocznie około 400-500 osób, po kilkanaście w tygodniu. Podejrzenie potwierdza się w co najmniej 80 procentach. Przy tym, co jest jeszcze smutniejsze, połowa tych ludzi przychodzi za późno.

— Nowotwory?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Tak. Płuca złożone są z milionów drobniutkich pęcherzyków. Ich miękka powierzchnia wynosi w sumie, w co trudno uwierzyć, około stu metrów kwadratowych. Te płuca tak delikatne i wrażliwe są pierwszym polem atakowania przez przerzut nowotworowy z pierśsi, nerek, narządów rodnych, wątroby. Wiele nowotworów zlokalizowanych w innych narządach, ujawnia się dopiero po przerzucie do płuc i daje o sobie znać objawami choroby układu oddechowego.

— Czyli rozpoznanie choroby zaczyna się czasem od końca. Mam pytanie do pana Dr Enderle, jako do kierownika Przychodni i zastępcy Lekarza Wojewódzkiego: na jakie rodzaje chorób płucnych cierpią mieszkańcy województwa zielonogórskiego?

Dr JANUSZ ENDERLE: — Zdecydowaną przewagę mają przewlekłe nieżyt oskrzeli. Powodują one złą wentylację płuc, a z czasem zaburzenia w krążeniu. Dalej: nowotwory płuc i gruźlica. Statystyka obejmuje tylko gruźlicę, jako chorobę zakaźną. Na sto tysięcy mieszkańców kraju, przybywa rocznie 30 nowych zachorowań na gruźlicę. W naszym województwie przybywa ich 25, także w tym samym stosunku.

— Co powiem Czytelnikom na koniec?

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Żeby nie lekceważyli objawów, które wymieniłam na początku, nawet gdyby wydawały im się niewinne, i zgłosiły się do lekarza.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Apelujemy o zgłaszanie się na badania radiograficzne!

Lek. med. BARBARA CHMIELINSKA: — Tych kilkunastu specjalistów zajmujących się gruźlicą i chorobami płucnymi, wspomaganą przez również wyspecjalizowany personel średni, nieczęsto nie zdająca bez udziału społeczeństwa. Bez zrozumienia ze strony ludzi, decydujących o remontach, rozdziale leków, zbieżności lasów, wycinaniu drzew, zanieczyszczaniu powietrza.

Dr JANUSZ ENDERLE: — Ostrzegamy i prosimy: nie palcie papierosów!

— W przeciwnym razie staniemy się, jak baba w bajce Kraszewskiego, społeczeństwem kaszlącym i słabym. Dzięki Państwu za rozmowę.

Rozmawiała

HALINA ANSKA

Na kolorowych fotografiach panorama wsijskiego pejzażu: lany zół, w oddali zabudowania wsi K. Pośród lani wydeptany krag. W środku leży sukienka. Złociste włosy, kolorowa sukienka, obnażone nogi. Jest martwa.

Dziewczynę znalazła w poniedziałek 8-letnia Iza, gdy wyszła z domu by na zrywac kwiatów na kościelną procesję. Najpierw podniosła z ziemi srebrny łańcuszek z medalikiem. W chwili póź niej zobaczyła ciało dziewczyny i prze raziła pobiegła do domu. Ojciec niezwłocznie powiadomił pobliski posterunek MO.

Ustalono, że dziewczyna leżąca w zbo zu jest 20-letnia Teresa Z., mieszkanka wsi, oddalonej o 3 kilometry od K. Dwa dni wcześniej z koleżanką uczestniczyła w wsijskiej zabawie, po której nie powróciła do domu.

Matka Teresy już w niedzielę próbowała dowiedzieć się, gdzie udała się córka po zabawie. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by nie wróciła. Ponieważ relacje koleżanek były mało precyzyjne, a Teresa w niedzielę od rana miała pracować (w pobliskim miasteczku zatrudniona była w kuchni), niepokój matki ustąpił miejsca przekonaniu, że córka prosto z zabawy pojechała do pracy.

Wolanie było bezskuteczne, więc wróciła do swojej wsi z kilkoma znajomymi. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że w tym czasie rozgrywa się dramat, w którym ofiarą stała się Teresa.

Nad ranem, drogą z K. do pobliskiego miasteczka, idzie Konrad. Jadący w tym samym kierunku kierowca „Syreny” zatrzymuje samochód i proponuje podwiezienie. Chłopak wsiada.

„Ten młody chłopak nie był rozmowny, wyglądał na zmęczonego, sprawała wrażenie jakby był smutny” — tak opisuje Konrada kierowca. Wówczas nie mógł wiedzieć, że wiezie człowieka, który dopiero co zabił.

W miasteczku Konrad odwiedził kolegę.

„Był trochę nietrzeźwy i mocno zmęczony, miał podrapaną prawą dłoń i spodnie brudne na kolanach, mówił, że bił się z chłopakami, kazałem mu odjechać, po kilku godzinach wrócił i pożegnał się” — to relacja kolegi.

W niedzielę po południu Konrad dotarł do domu. Nie wzbudził zainteresowania matki, kobiety zapracowanej po nad siły. Ojciec nigdy nie darzył syna szczególnym uczuciem. Jedynym przejawem jego „troski” było częste karcenie Konrada.

Popijał, a wtedy bywał agresywny jak ojciec. Kontakty towarzyskie nawiązywał łatwo, ale nie stać go na czułość.

Zeznają koleżanki Konrada. Kiedyś bez żadnego powodu powiedział: „co byś zrobiła, gdybym wyjął brzytwę i pociął ci twarz?” (Halina), „Pisał do mnie, że cierpi przez dziewczynę i musi się z nią rozliczyć” (Mariola).

Kontakty intymne nawiązał tylko z dużo starszą od siebie kobietą. Janina była dróżniczką na kolei. Trzeźwy czy nie, w jej obecności, zachowywał się spokojnie.

Wyjaśnienia Konrada są postrzępione i niezborne. Po wyjściu oś nocy z sąli zaproponował Teresie spacer. Nie myślał o niczym okrutnym. Chciał z nią być. Trzymał za rękę, przytulał. Dwa razy przysiedli na miedzy. Chciał ją pocałować, lecz wzbraniała się. Znowu szli drogą i znowu przysiedli. Wtedy zażądał jej przyzwolenia na wszystko. Przewrócił dziewczynę. Broniła się i ugryzła go w palec. Zaciął dłoń na jej szyi. Nie wie, jak długo to trwało. Odbił z nią stosunek, lecz nie pamięta, w którym momencie. Czy Teresa jeszcze wtedy żyła? Po wszystkim zasnął obok dziewczyny, a kiedy się obudził, wyszedł na drogę, gdzie spotkał kierowcę „syreny”.

Do akt sprawy dołączono kalendarzyk Konrada. „Wpisywałem tam swoje myśli, pisałem też o kobietach” — dość ogólnikowo tłumaczy oskarżony sens tych zapisów, które sędzia odczytuje. „Wszystkie osoby, które zraniły serce człowieka, ukarać najsurowszą karą”. „Kara śmierci dla każdej, która zrani serce me”. „M.P. usunąć za wszelką cenę”. „S. usunięta, wszystko poszło gładko”.

Nie potrafi wytłumaczyć, o czym myślał pisząc te hasła — zdania. Jest apatyczny, jakby to nie jego losy się ważyły. W odczytywanych przez sąd protokołach jest passus, jakiego nie spotyka się nawet w wyjaśnieniach starych rezydentów.

„Odnosnie śmierci Teresy nie odczuwam żadnego żalu ani skruchy. Uczucia takie nie są w ogóle mi znane. Czuje się, jakbym nic nie zrobił”.

Konrad poddany został ponad trzymiesięcznej obserwacji psychologiczno-psychiatrycznej. Obszerną opinię przedstawił też lekarz seksuolog.

Brak wyrzutów sumienia i uczucia żalu, to nie werbalna deklaracja na pokaz, lecz „realność psychiczną” Konrada. Opinie biegłych kreślą jego portret wewnętrzny od najmłodszych lat. Już wtedy miał niezaspokojone potrzeby w sferze bezpieczeństwa i kontaktów emocjonalnych. Z drugiej strony dopływały doń wzorce zachowań oparte na agresji. W konsekwencji wystąpiły głębokie zaburzenia osobowości, stopniowe uczucie, brak uczuciowości wyższej i samokrytycyzmu.

Seksuolog odkrył rozwijające się u oskarżonego zaburzenia seksualne pod postacią tendencji sadystycznych. Skrajną postacią tych tendencji jest właśnie zabójstwo z łubieżności, dostarczające pełni doznań seksualnych poprzez unicestwienie ofiary.

Biegli byli zgodni, że dokonując zabójstwa Konrad miał ograniczoną, w stopniu znacznym, możliwość kierowania swym postępowaniem i zdolność rozpoznania znaczenia czynu.

Mimo tej okoliczności oraz młodego wieku oskarżonego. Sąd Wniwódkzi w Zielonej Górze wymierzył mu najdłuższą karę izolacyjną, przewidzianą prawem, 25 lat pozbawienia wolności. Konrad przyjął wyrok spokojnie. Pożegnał się z matką i odjechał z milicyjnym konwojem.

Jakim człowiekiem będzie, gdy mając 45 lat opuści mury więzienia.

TESTIS

PS. Imiona i nazwiska zostały zmienione.

Z dziejów Polski Ludowej

MIKOŁAJCZYK i jego stronnictwo

ciąg dalszy ze str. 4

nie zrozumiał. Nie wypada w tym liście mówić źle o Mikołajczyku, choć jednak stwierdzić jedno, że Mikołajczyk bardzo wielu rzeczy w Polsce nie rozumie. Czyżby te parę lat pobytu za granicą tak mu zaszkodziło? (...) Czy dla pięknych oczu Mikołajczyka politycy angielscy woliliby poświęcić ziemie zachodnie Polsce i narazić się śmierć 60 mln Niemców, na których liczą chyba bardzo (...) Czy wierzyć, że z przyjaźni do Mikołajczyka Anglicy razem z Niemcami pójdą na wojnę o Lubów i Wilno? Nie pójdą na pewno, a gdyby nawet poszli, co jest niemożliwe, to czy z czasem nie musielibyśmy za to Niemcom zapłacić (...)

Wiosną 1946 r. na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich nasiliła się walka polityczna między partiami robotniczymi, a PSL o wpływy wśród społeczeństwa. PPR prowadziła szeroką akcję propagandową przeciwko PSL przy pomocy wieców, prasy, radia. PSL zdecydowało się na samodzielną rozgrywkę polityczną z obozem demokratycznym.

NA PROPOZYCJE PPR i PPS

złożone w lutym 1946 r., aby PSL weszło w skład bloku demokratycznego. Mikołajczyk odpowiedział żądaniem 75 proc. mandatów dla partii chłopskiej w przyszłym sejmie, z czego prawie wszystkie przypadłyby PSL. Partie robotnicze nie mogły zgodzić się na to, by peeselowcy zmopolizowali w swych rękach wpływy w parlamencie i rządzie, zapropowowały podział parytetowy między partiami robotniczymi (PPR, PPS) i chłopskimi (PSL, SL) — po 20 proc., a dla dwóch mniejszych stronnictw (SD, SP) po 10 proc. Rozmowy przeprowadzone w lutym nie daly rezultatu.

Zdecydowano się przed przystąpieniem do wyborów przeprowadzić referendum w sprawach dotyczących problemów ogólnonarodowych i postawie społeczeństwa trzy pytania: 1) Czy jesteś za zniesieniem senatu? 2) Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego wprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki narodowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej? 3) Czy chcesz utrwalenia zachodniej granicy państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Wysuwając projekt referendum ludowego, blok demokratyczny (PPR, PPS, SL, SD) chciał się zorientować, czy większość społeczeństwa polskiego akceptuje dokonane w kraju przeobrażenia społeczno-ekonomiczne i wyraża wolę zaufania do władzy ludowej, a w związku z tym, czy blok demokratyczny może liczyć na zwycięstwo w wyborach do Sejmu Ustawodawczego.

Podobnie, pragnęło wykorzystać swój udział w referendum kierownictwo PSL. Znany slogan propagandowy tego stronnictwa głosił: „Tylko kaczka głupi ptak, toła, ciągle tak, tak, tak. Mądry człowiek wie co chce i na pierwsze mówi — nie”. Była to decyzja zaskakująca, bowiem ruch ludowy zawsze wypowiadał się za zniesieniem senatu. W istocie rzeczy było to posunięcie taktyczne. PSL wezwało społeczeństwo do udzielania negatywnej odpowiedzi na pierwsze pytanie, ponieważ Mikołajczyk uważał, że wszystkie głosy „nie”, które padną na to pytanie, będą należały do zwolenników stronnictwa. Jednocześnie wzmożył się kontakt PSL z podziemiem zbrojnym.

Referendum przyniosło sukces partiom bloku demokratycznego. „Tak” na pierwsze pytanie odpowiedziało 68,2 proc. głosujących, na drugie 77,3 proc., na trzecie 91,4 proc. Na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało na Warmii i Mazurach 60,5 proc., na Pomorzu Zachodnim 61,7 proc. Podobne wyniki uzyskano na Śląsku Opolskim i Ziemi Lubuskiej. Ogółem PSL zdobyło na Ziemiach Zachodnich około 1/3 wszystkich głosów. Rezultaty głosowania podważyły mił powszechności wpływy PSL. Z drugiej zaś strony wykazały, że PSL i podziemie zbrojne posiada duże wpływy w społeczeństwie. Dla pomniejszenia zwycięstwa bloku demokratycznego siły kontrrewolucyjne rozsiewały plotki o rzekomo sfalszowaniu wyników głosowania. Terror podziemia skierowano przeciwko przedstawicielom władzy ludowej. Jak podało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w okresie od 15 czerwca do 2 lipca 1946 r. miało miejsce 250 napadów, z tego 37 na członków obwodowych komisji głosowania, 63 na lokale tych komisji i 70 na aktywistów PPR, PPS, SL i SD. Zamordowano 14 członków komisji wyborczych, a 7 zostało rannych. W obronie władzy, życie oddało 65 funkcjonariuszy MO, UBP i członków ORMO. Po stronie podziemia zbrojnego straty były następujące: 67 zabitych i 308 zatrzymanych.

Polityka Mikołajczyka po przegranej w referendum stała coraz wyraźniej i to nie bez pomocy rządów zachodnich, które popierały PSL, kwestionowały jednoznacznie zachodnie granice Polski. Przemówienie sekretarza stanu USA J. Byrnes'a wygłoszone 6 września 1946 r. w Stuttgarcie było szokiem dla tych wszystkich w Polsce, którzy żyli jeszcze iluzje co do polityki mocarstw kapitalistycznych w sprawie niemieckiej i w kwestii zachodnich granic Polski. Oznaczało to bankructwo podstaw polityki PSL, która opierała się na tzw. zachodniej orientacji. Obecnie trudno było wytłumaczyć społeczeństwu, że o pomoc należy zwracać się do tych, którzy tak otwarcie negują ostateczność decyzji poczdamskich w najżywnotniejszych dla Polski sprawach. Przez cały kraj przeszła fala protestów, manifestacji i wieców pod hasłem: „nasza odpowiedź protektorem i opiekunom Niemiec”. Ludność zamieszkała na ziemiach Zachodnich i Północnych protestowała przeciwko oddaniu choćby skrawka naszych ziem. Żądała natychmiastowego zwrotu Niemców, słubowała dolozyć wszelkich starań aby jak najszybciej zagospodarować te ziemie. W wystąpieniach przypomniano, że żołnierz polski nie tylko bił się na szlaku Lenino-Berlin, ale również na froncie zachodnim pod Monte Casino, Tobrukiem, bronil Londynu przed atakami hitlerowskiego lotnictwa.

Jesień 1946 r. przyniosła polityczny i organizacyjny rozkład PSL na ziemiach Zachodnich i Północnych. PPR umiejętnie demaskowała politykę kierownictwa PSL. Pewną rolę w walce z PSL odegrały środki administracyjne, przede wszystkim usuwanie zagorzałych zwolenników Mikołajczyka z aparatu państwowego i gospodarczego. Aktywną działalność mającą na celu wyeliminowanie powiazań PSL z podziemiem zbrojnym, prowadził aparat bezpieczeństwa. Masowo występowali z PSL chłopci.

Wybory 19 i 1947 r. przyniosły dotkliwą porażkę PSL. Np. w 15 okręgach wyborczych obejmujących obszar Ziemi Odzyskanych, blok demokratyczny uzyskał 93,8 proc. głosów, dla porównania warto przypomnieć, że w skali całego kraju procent ten wyniósł 80,1 proc. W wyborach sejmowych starły się dwie koncepcje polityczne — koncepcja budowania Polski socjalistycznej z koncepcją restauracji II Rzeczypospolitej. Bezpośrednim skutkiem klęski wyborczej PSL było powstanie lewicowej frakcji PSL „Nowe Wyzwolenie”.

Kierownictwo PSL nie mogąc pogodzić się z poniesioną porażką, twierdziło, iż wybory zostały sfalszowane, oskarżało władze państwowe o nadużycia, żądało unieważnienia wyborów. Mikołajczyk zwrócił się o interwencję do ambasady zachodnich. Rządy USA i W. Brytanii ograniczyły się do krytyki sposobu przeprowadzenia wyborów, nie zamierzały jednak wyciągać z tej sprawy jakichś dalszych wniosków, w szczególności wykluczone możliwości zawieszenia stosunków dyplomatycznych z Polską. Nastąpił gwałtowny spadek popularności PSL i Mikołajczyka. „W roku 1945 było nie do pomyślenia, by Mikołajczyk mógł się ukazać pieszko na ulicy. Wszędzie bowiem, gdzie się zjawiał, wyrastały jak z podziemi tysiączne tłumy i rozlegały się okrzyki — niech żyje. Teraz, jak wspomina Korboński, gdy kroczymy po chodniku, ten i ów się obejrzał, a w kawiarni na jego widok pochylały się tylko głowy przy stolikach i ludzie poszeptali ze sobą, wskazując go oczyma. Ale o żadnej manifestacji dawnego typu, czy większym zainteresowaniu, nie było mowy.”

W 1945 r. ludzie wierzyli w cudowną receptę na wyzwolenie, przywiezioną przez Mikołajczyka z Londynu. W roku 1947, po przegranych wyborach, po których ze strony zagranicy nie nastąpiło nic poza czcymi protestami, wiara ta zniknęła bez śladu. I stuszenie”.

Ostateczny proces rozpadu PSL nastąpił w październiku 1947 r. po ucieczce z Polski jego przywódców na czele z Mikołajczykiem.

JAN GOLEC

Po wyroku

Ostatni spacer Teresy Z.

Niepokój powrócił w niedzielę wieczorem. Nieobecność córki była dla matki niewytłumaczalna. W poniedziałek rano zatelefonowała do restauracji w miasteczku i dowiedziała się, że Teresa nie była w pracy w niedzielę. Nie ma jej też dziś. Pełna najgorszych przeczuć zaalarmowała posterunek milicji, ten sam, do którego kilka godzin później zgłosił się ojciec małej Izy.

„Terenia była spokojna i pracowita, chętnie pomagała mi w domu i w polu” — powie zrozpaczona matka na rozprawie w Sądzie Wojewódzkim w Zielonej Górze.

Mimo że od dnia śmierci córki minie pół roku, w jej głosie ciągle świeża rozpacz. Składając zeznania matka nie pa trzy na ławę oskarżonych, gdzie siedzi on. Wbrew upomnieniom sądu kobieta niezmienne określa go słowem „bandyta”.

Organa śledcze nie musiały działać „po omacku”. Istniał wyraźny punkt za czeplenia: wsijska zabawa we wsi K. Potem już nikt Teresy nie widział. Zaczęto, od przesłuchań uczestników zabawy.

Najwięcej informacji dostarczyła Ewa G., która z Teresą przyszła w sobotni wieczór do świetlicy w K. Dziewczynę zasiadły przy stoliku same, lecz po kilkunastu minutach miały towarzystwo. Tańczyły często, a najczęściej z braćmi Romanem i Konradem G. Ewa G. bawiła się przeważnie z Romanem, który liczył sobie lat 18, a Teresa ze starszym o ponad rok Konradem. W przerwach między tańcami bracia wypili dwa wina, z czego dziewczynę tylko po dwa kieliszki. Ewa nie zauważyła niczego, co wskazywałoby na szczególne zainteresowanie Teresy starszym z braci.

„Ona nie była taka, żeby od razu isc z chłopakiem, którego nie znała” — po wie Ewa do protokołu śledztwa, dodając, że „Konrad podobał się Teresie”.

Po północy dziewczynę z braćmi G. opuszczają salę. Jest ciepła czerwcowo noc. Ewa z Romanem powracają do tańca, natomiast Teresa z Konradem po zostają przed świetlicą. Po jakimś czasie Ewa znowu wychodzi z sali i nie widząc koleżanki, głośno ją nawołuje. Po ra wracać do domu, oddalonego przecież o 3 km.

W poniedziałek rano milicjanci zabrali Konrada do prokuratury w Zielonej Górze. Na pytanie — co działo się od chwili jego wyjścia z sali wraz z Teresą, odpowiedzieć mógł wyłącznie on.

Teraz siedzi w sali sądowej na ławie oskarżonych, wysoki, szczupły, o przyjemnej aparycji i jakby nieobecnym wzroku. Któras z koleżanek Teresy po wie sądowi, że podobał się dziewczynom i chętnie zawierał znajomości.

Na pierwszej ławie dla publiczności siedzi smutna matka Konrada. Po przeciwległej stronie matka Teresy, cała w czerni. Te kobiety chciały na pewno, by ich dzieciom wiodło się najlepiej.

Stwierdzenie, że Konrad miał przysłówne trudne dzieciństwo, nie jest tylko frazesem. Był trzecim z kolei spośród siedmiorga dzieci. Kłopoty życia codziennego spoczywały na barkach matki, ponieważ ojciec, poza pracą, zajmował się głównie pićm wódki. Wysiłek matki koncentrował się na wiananiu „konica z końcem”. Awanturując się do starcał negatywnych wzorców swym dziecinem. Szczególnie źle traktował Konrada. Chłopiec szkołę podstawową skończył z trudem, powtarzając dwie klasy. Gdy miał lat 13, pierwszy raz zetknął się z tzw. wymiarem sprawiedli wości w osobie sędziego do spraw nieletnich, który zastosował dozor kuratora. W trzy lata później Konrad dokonał „włamu”. Był to sygnał, że pora sięgnąć po środki surowe. Chłopak wedruje do Zakładu Poprawczego w G.

Obiegowa opinia o demoralizującym wpływie zakładu na młodych pensjonariuszy, tym razem nie potwierdza się. Konrad G. był przykładem skuteczności stosowanych środków resocjalizacyjnych.

„Należy do wyróżniających się wychowanków, wobec nauczycieli uprzejmy, lubiany przez kolegów, stara się po magać słabszym, zdobył zawód ślusarza” — tak brzmiała opinia wychowawcy, gdy Konrad opuszczał zakład przed terminowo. Miał lat 18 i wkraczał w dorosłość z nadzieją.

Ponad rok, aż do tragicznego czerwca, Konrad pracował na kolei, i szło mu dobrze. Znacznie gorzej poza pracą.

wal? Może ktoś spośród pracowników muzeum? Nigdy nie zdarzyło się tak, by wyszła z gabinetu pozostawiając swoich gości samotnie. Sprawdziła zamki w drzwiach, lecz nie dostrzegła niczego, co by wskazywało na dokonanie włamania. Przeliczyła zawartość kopert i stwierdziła, że brakuje w nich aż 37 monet. Złodziej okradł te koperty, w których monet było więcej. Pośród skradzionych znajdowała się również jedna z dwu monet oczyszczonych przez jubilera. Ten, kto ukradł monety, sądził, że B. Żyza nie odkryje kradzieży?

O zaginięciu monet natychmiast powiadomiła dyrektora muzeum, a on mi liście. Sprawę kradzieży dr Jan Muszyński przedstawił także kierownikom innych działów muzeum. Po tym zebraniu kierowniczka gabinetu przeprowadziła skontrol, lecz nie stwierdziła, by czegośkolwiek poza wykradzionymi 37 monetami brakowało. Dochodzenie prowadzone przez milicję nie doprowadziło do wykrycia złodzieja. Milicja nakazała wymienienie zamków patentowych w drzwiach gabinetu i zasugerowała, by B. Żyza klucz do szafy metalowej miała przy sobie. Do czasu przeniesienia gabinetu numizmatycznego do innego pomieszczenia, klucz od szafy wraz z kluczami do drzwi B. Żyza zabierała ze sobą do domu.

Kiedy milicja uznała, że odzyskanie monet jest niemożliwe, w innej szafie w pudełeczku po medalu B. Żyza znalazła cztery monety ze skarb sulechowski. Była przekonana, że zostały tam podroczone, ale kiedy? Jak? Kto? Przy dokładniejszych oględzinach odnalezio-

nych monet stwierdziła, że jedna była czyszczona po amatorsku. Oczywiście powiadomiła o tym dyrektora.

Skarb sulechowski nadal znajduje się w muzeum, oczyszczony, posegregowany. I nadal brakuje w nim 33 monet.

Jesienią 1986 r. komisja inwentaryzacyjna stwierdziła, że w zbiorach działów historycznego, winiarskiego i sztuki dawniej brakuje wielu przedmiotów znacznej wartości. Szczególny nieporządek w dziale historycznym wydał się członkom komisji niezrozumiały. Zobowiązany do złożenia wyjaśnień w tej sprawie Janusz K., zastępca dyrektora i kierownik działu, starał się przedstawić komisji broń i starodruk jako te przedmioty, których brak stwierdzono w trakcie prowadzonej inwentaryzacji. W styczniu 1987 r. Janusz K. został odwołany ze stanowiska wicedyrektora muzeum i zawieszony w czynnościach kierownika działu.

Zaraz po tym fakcie pracownicy muzeum przenosili meble ze starych pomieszczeń działu historycznego do nowych. Gdy Robert Korneluk wysunął szufladę z masywnego biurka Janusza K., na podłodze wypadła mosiężna moneta. Poproszony do działu E. Dąbrowski aż zaniemógł z wrażenia. Była to moneta rzymska, identyczna do tych, które przed wieloma laty zginęły z kierowanego przez niego działu archeologicznego.

ALFRED SIATECKI

NUMIZMATY

ciąg dalszy ze str. 3

się w kolekcji muzealnej. Toteż B. Żyza dość precyzyjnie odpowiadała na pytania swoich gości, co do ich wartości, pochodzenia. Skarb sulechowski stanowiły srebrne monety austriackie, czeskie, polskie, niderlandzkie, niemieckie, pochodzące z wieków od XV do połowy XVII. Koperty z monetami były wyjmowane z szafy często; kierowniczka zawsze liczyła, ile ich jest. Postanowiła, że kiedy tylko upora się z innymi pilnymi pracami, natychmiast przy stąpi do opracowania tego skarb. Zajął nie jej to dużo czasu, bo każdą monetę trzeba najpierw oczyścić, potem obejrzeć, opisać, zarejestrować, ale nikt inny poza nią tego nie robi.

10 kwietnia 1983 r. B. Żyza otworzyła szafę i znieruchomiała. Wewnątrz był porządek, na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało, a jednak ktoś w czasie jej nieobecności zaglądał do szafy. Kto? Wiedział, gdzie przechowywał klucz? Może malarz, który tu pracował?

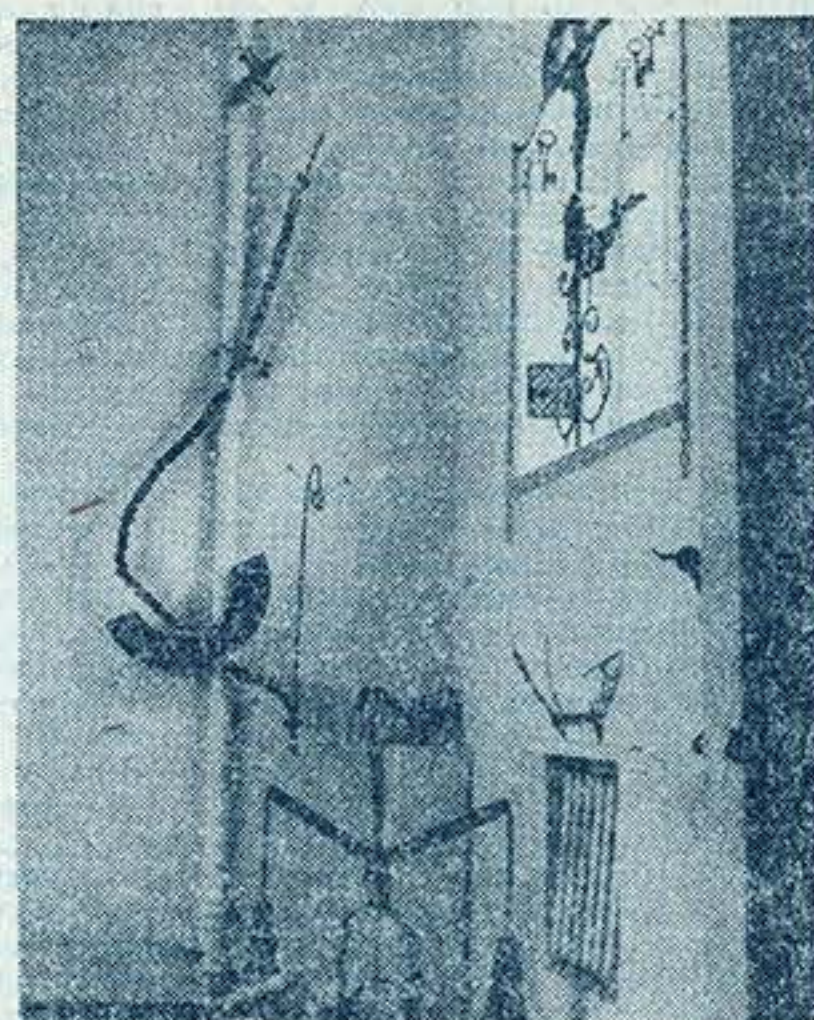
od lat czekam
pod drzwiami
ze zmiennym niepokojem
czasem wychodzę gdzieś
przed siebie
niosę wówczas
wszystkie drzwi świata
na swoich barkach
aż wrócę do domu
by w nim przesunąć w nieskończoność
granice mieszkania

Szaletstwo

o obłęd można posądzić
obłęd można wymyślić
na obłęd można się zgodzić
świadomy lub nieświadomy wybór
nieporozumienie lub zaprzestanie walki
ale życia
które nawet śmiercią się podkreśla
nie można ominąć
jak prawdy do której się zmierza
nie można pozbyć się lub nabyć

w spisku przed przyszłością
po kryjomu wobec teraźniejszości
bez względu na to co było
tworzy dzieło
kiedy noc nie współdziała ze snem
a dzień z jawą
ciało upada ze zmęczenia
a wyobraźnia jest rozognioną raną

Z tomiku „Wznoszenie z korzeni”, który wkrótce ukaże się w bibliofilskiej serii poetyckiej wydawanej przez Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.



Z galerii MARIANA KRUCZKA w Zielonogórskim Muzeum

Pierwsza połowa lutego 1945 roku była deszczowa. Wylały rzeki, roznokla gleba. Oddziały, które wyzwały poszczególne miejscowości obecnego województwa zielonogórskiego, z trudem przebiły się przez lasy, gdzie drogi były błotniste. Wszystkie mosty zostały zniszczone przez cofających się Niemców. Nie spodziewali się oni, by w tak trudnych warunkach atmosferycznych Armia Radziecka mogła dokonać silnego uderzenia.

środkowa i jej odpowiedniki przy zarządzaniu wojewódzkich ZBoWiD. Zielonogórskim środowiskiem kieruje Władysław Blech — jako prezes i Władysław Smyk — sekretarz. To właśnie dzięki nim udało się uratować od zapomnienia nazwiska Polaków — byłych żołnierzy Armii Radzieckiej. Według stanu na dzień 1 stycznia 1988 roku na terenie obecnego województwa zielonogórskiego zamieszkiwało około 400 byłych żołnierzy Armii Radzieckiej. 84 spośród nich

Okreğu Szkolnego. Pełnił społecznie funkcje prezesa Zarządu Wojewódzkiego Ligi Obrony Kraju i przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego TPRP. Mgr plk. Józef Wolanin za swoją ofiarną pracę zawodową i działalność społeczną uhonorowany został wieloma wysokimi odznaczeniami: Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Sztandarem Pracy II klasy, a ponadto odznaczeniami wojennymi m.in. „Zasłużony na Polu Chwały”. W 1975 roku otrzymał tytuł honorowy „Zasłużony Nauczyciel PRL”. Zmarł 4 grudnia 1983 roku.

Władysław Blech ur. 11 stycznia 1921 r. w Kolomyży, województwo stanisławowskie, Porucznik rezerwy. Zmobilizowany do Armii przez Rejwojennokomnat w miejscowości Ruszajewska, 2 lutego 1942 r. został skierowany do Ulan-Ude (Mongolia). Brał udział w walkach z Niemcami pod Smoleńskiem. Następnie został skierowany do Szkoły Czołgowej w Czelabińsku, skąd 1 marca 1944 r. przeniesiono go do 4 Pułku Czołgów Ciekich i Armii. W LWP służył do 15 listopada 1945 r. Odznaczony Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Radzieckim za Berlin, Medalem Radzieckim za Zwycięstwo nad Niemcami i Honorową Odznaką Komitetu Weteranów Wojny ZSRR, oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Władysław Korzeniowski urodzony 19 grudnia 1916 r. w Jarosławiu. 10 października 1941 r. przebywając na terenie ZSRR w Dombasie, powołany został do Armii Radzieckiej — do 244 Artyleryjskiego Sandomierskiego pułku 58 Dywizji Gwardyjskiej — 3-ciej Gwardyjskiej Armii i Frontu Ukraińskiego. Brał udział w obronie Stalingradu, w walkach o wyzwolenie Biełgorodu i Poltawy. Forsował Wisłę i Odę, Wyzwalał Nowe Miasteczko i Koźuchów, a 14 lutego 1945 r. — Zieloną Górę. Następnie walczył o zdobycie Gubina. Wyzwalał Cottbus i Drezno. Swoją walkę z Niemcami zakończył wyzwoleniem Pragi Czeskiej. Służył w Armii Radzieckiej do 1 lipca 1946 r. Później osiedlił się w Starym Kisielnie. Aktualnie przebywa w Domu Zbożowidowca. Za udział w walkach z Niemcami odznaczony: medalem za Obronę Stalingradu, medalem za Zwycięstwo i Wolność Zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Za zdobycie Berlina, za zdobycie Pragi i Odznaką Grunwaldzką.

Inaczej losy pokierowały wojennym życiem Jerzego Panomariewa. Urodzony 22 kwietnia 1921 r. w Zimownikach, obwód Rostów w ZSRR, ppłk rezerwy. W Armii Radzieckiej służył w latach 1940—1950. W czasie wojny, w latach 1941—1943, w szeregach Frontu Południowo-Zachodniego walczył w obronie terenów radzieckiej Ukrainy, szczególnie rejonów: Czerkasy-Kremenczuha. We wrześniu 1941 r. w ramach Frontu Południowego walczył o Rostów nad Donem, a później o wyzwolenie Kaukazu i Kercza. Brał udział w obronie „Małej Ziemi”. W czasie działań wojennych był trzykrotnie ranny. Z Armii Radzieckiej przeszedł do Ludowego Wojska Polskiego, w którym służył do 1957 roku. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Grunwaldu III Klasy, Orderem Aleksandra Newskiego za Obronę Kaukazu oraz wieloma innymi odznaczeniami państwowymi i wojennymi.

Podobna droga do Polski wiodła Mateusza Lacha. Urodzony 1 września 1918 roku w Drohobyczu. Pułkownik dyplomowany w stanie spoczynku. W Armii Radzieckiej służył od 1 października 1940 roku do 19 maja 1943 roku. W ramach Frontu Południowego walczył w obronie Zaporozia. Brał udział w walkach o Donbas, Rostów i Nowoczerkask. 19 maja 1943 r. skierowany do Ludowego Wojska Polskiego, do 1 Batalionu Pancernego Bohaterów Westerplatte. W LWP służył do 1 listopada 1969 r.

Nie sposób w krótkim artykule wymienić wszystkich mieszkańców Zielonej Góry, którzy w szeregach Armii Radzieckiej walczyli „za waszą i naszą wolność”.

Pamięć o Lechu Wieruszu

Na miesiąc przed śmiercią doktora Lecha Wierusza pojawili się w Jego mieszkaniu dwaj egotycczni goście.

Byli to profesor Li — N — Ku z Instytutu Ortopedii i Traumatologii w Phe-nianie oraz jego asystent. Ciężko chory Doktor, z utraconym wzrokiem, nie był w stanie rozpoznać w sądzym Koreań-czyku dawnego przyjaciela z okresu swojej pracy w Hamhynie. Od tamtej pory minęło 31 lat. Oczami swojej żony, Zuzanny, zobaczył go pochylonego nad swoim łóżkiem Upiływający czas bywa bezwzględny dla kondycji człowieka. Porównanie sił witalnych dwóch przyjaciół wypadło na niekorzyść Doktora. Młodszy o rok profesor Li był wciąż czynny zawodowo i podróżował po Europie w celach naukowych. Przy wioły wyciągał herbaciany z korzenia żeń — szeń Doktor wzruszył się tym do wódem pamięć, przyoblekał przyjaciela i wypijał codziennie herbatę żeń-szeniową i powrócił do zdrowia. Wiara Azjaty w cudowną moc leku może poprawić samopoczucie chorego. Doktor z ożywieniem słuchał koreańskiej opowieści profesora. Przypominał sobie nie które szczegóły z pobytu w tym kraju.

Przebywał w Korei w latach 1955—56 jako konsultant III Kliniki Chirurgicznej w Hamhynie. Kraj był wówczas w trudnym okresie odbudowy zniszczeń po wojnie z Amerykanami. Polski lekarz ratował Koreańczyków z wojenne go kalectwa. Właśnie tam, w tym odległym kraju, dwie wrodzone cechy Doktora, pracowitość i cierpliwość, zjednały Mu dogonnych przyjaciół.

Okres koreański był w życiu Doktora tylko dwuletnim epizodem. Tak jak wszystkie Jego liczne podróże po świecie. Wyjeżdżał i przyjeżdżał. Od 1951 roku zaczął się w Jego życiu najdłuższy okres świebodziński. Przyjechał do ówczesnego Zakładu Lecznico - Wychowawczego dla Dzieci Kalekich w Świebodzinie na zastępstwo po chorym dr Leśkiewiczu. Pozostał. Jako uczeń profesora Wiktora Degi mógł w Poznaniu zrobić karierę. Zdecydował się mieszkać w prowincjonalnym mieście i dyrektorać małemu zakładowi bez re-nomy, urzędzie medycznych i wyszkolonej kadry. W krótkim stosunkowo czasie zmienił w ten sposób warunki życia, przygotował blok operacyjny do wykonywania operacji, urządził gabinet hydroterapeutyczny. Nie oszczędzał się, choć już wówczas astma płuca dawała się Mu we znaki. Pamiętają Go współpracownicy, jak wraz ze wszystkimi mi wywoził gruz na taczakach z remontowanych gabinetów, jak w przyzakładowym klubie oczyszczał z tynku ceglano sklepienie łukowe. Uczył pracowitości i cierpliwości, bo to miał zakodowane w sobie od najmłodszych lat. Te dwie zalety pomogły Mu w Korei i pozwoliły na osiągnięcie sukcesu w Świebodzinie.

Jest pamięć w ludziach o Doktorze bardzo różnorodna. Jedni przypominają sobie dokonania wielkie, inni jakieś blade szczegóły. Życie człowieka składa się z detali. Rozmawiamy o nich, wspominamy wydarzenia, które nie zostały i być może, nie zostaną nigdy za-pisane w annałach dla potomnych. Pozostają osobiste wspomnienia o Doktorze. Wyjęte są z naszej pamięci jak poszczególne sekwencje z biograficznego filmu. Ktoś opowiada o przyzwyczajeniach Doktora do bardzo mocnej herbaty. Ktoś inny mówi o pewnej kobiecie, która przyniosła Doktorowi dwie wytłaczanki kurzych jaj jako dowód wdzięczności za wyleczenie dziecka. Doktor taszczył owe jajka przed sobą wszędzie do pokoju pielęgniarek, pytając o aktualną cenę, bowiem postanowił za-płacić kobiecie. Ktoś jeszcze inny wspomina muzyczne predyspozycje Doktora. Otóż z okazji przerożnych zjazdów ortopedów, w czasie przerw między obradami, Doktor lubił się popisywać grą na pianinie. W „żelaznym” repertuarze była „La comparsita”.

Odkrocznia od trudnych bez wątpienia spraw medycznych była na pewno społeczna działalność kulturalna Doktora. Prezesował przez wiele lat Towarzystwu Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej, później udzielał się w PRON-ie. Dzięki Niemu Towarzystwo dokonało trwałych przeobrażeń kulturowych w mieście. Powstał żywy ruch regionalny na bazie istniejących już tu tradycji amatorskiej twórczości. Ba, Doktor był także twórcą. Z powodzeniem kręcił filmy w amatorskim klubie „Lubusz”. Był społeczną instytucją działań kulturalnych, mecenasem i autorytetem świebodzińskich społeczników. Nagradzany był wielokrotnie za swoją działalność. M.in. w 1971 roku Lubuską Nagrodą Kulturalną oraz w 1981 roku Nagrodą za szczególne zasługi w rozwoju kultury i nauki na środkowym Nadodrzu. Posiadał także odznakę Zasłużonego Działacza Kultury i plakietkę Winiarkę otrzymaną od redakcji „Nadodrza”, jako jeden z laureatów pisma.

Najbardziej jednak ważne dowody uznania otrzymał za pracę w zakresie medycyny. Opracowane przez Niego instrumentaria leczenia operacyjnego sko-łozu zdumiewały cały świat lekarski. Małenka Świebodzin stał się istną metropolią światowej chirurgii ortopedycznej. W wydanym przez Interpress informatorze „Kto jest kto w polskiej medycynie” zawarta jest długa lista Jego odnawianych. Przypomnijmy tylko niektóre: Order Budowniczego Polskiej Ludowej, Krzyże Oficerski i Kawalerski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal 10-lecia, 30-lecia i 40-lecia Polskiej Ludowej, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Sztandar Państwowy III klasy przyznany przez Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną. Wielka szkoda, że w tej doborowej kolekcji nagród i odnawianych zabrakło Orderu Uśmiechu przyznanego przez dzieci. Zasłużył sobie przecież jako lekarz i wychowawca. Dla nich po-swiecił Swoje wychowawcze i siły. Przez Świebodziński Zakład przewinęło się wiele kalekich dzieci. Po Heine-Medina, po wypadkach, z wrodzonymi wadami kończyn, ze skoliozami. Wykonał tysiące zabiegów operacyjnych. Ilu zoperowanym dzieciom przywrócił uśmiech na twarzy? Ilu wróciło do normalnego życia? Mieszkają gdzieś w Polsce. Raz na jakiś czas zjeżdżają do Świebodzina, żeby spotkać się ze swoimi kolegami i lekarami. Do niedawna witała ich uśmiechnięta życzliwa twarz Doktora.

Jeden z nich, obecnie inżynier z Warszawy, wygłosił przejmujące przemówienie nad trumną Doktora. Słowa są zbyt mało pojemne, by zawrzeć w nich wielką wdzięczność i wielki żal po odchodzącym. Pozostaje pusta przestrzeń po Człowieku, którą zapełnić się nie da.

Miał 70 lat, kiedy dosięgła Go ciężka choroba. Przedtem dokuczały Mu dolegliwości astmatyczne. Utracił wzrok, możliwość ruchu. Leżał i słuchał muzyki. Przestuchiwiał wielokrotnie 21 koncert C-dur Mozarta. Zna Zuzannę, czytała ulubione książki. Odwiedzali Go byli współpracownicy. Przynosili kwiaty. Pytał o sprawy zawodowe i o ludzi. Chciał żyć życiem Zakładu. Zmarł 18 grudnia 1987 roku.

GUSTAW ŁAPSZYŃSKI

PS. Serdecznie dziękuję p. Zenonowi Piszczyskiemu za udostępnienie swoich prywatnych źródeł archiwalnych, bez których nie mógłbym napisać tego wspomnienia.

Za Waszą i naszą wolność



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

W środę 14 lutego 1945 roku o godzinie 14.00 do Zielonej Góry wkroczyli gwardziści generała Gordowa. Miasto było wolne.

Dzięki właściwej taktyce uniknięto przewlekłych walk, dzięki czemu nie uległo ono zniszczeniu. Wycofujące się wojska niemieckie ukryły się w okolicach Letnicy, gdzie zostały ostatecznie rozbite. W walkach o miasto poległ: Stefan Frenenko, Michał Storarab, Mi-kolaj Możny, Ryko Tutnyk, Michał Bondariw, Mykin Bodin, Kolka Kaura, S. Fraluk, K. Tarasow, K. Miezienek. U wejścia do miasta przy ul. Wrocławskiej zginęli: lejttnant Grzegorz Dada-jew i szeregowcy: Grzegorz Dratowan-yj i Paweł Gruszyński. Trzech żołnierzy, których nazwisk nie znamy, poległo w rejonie ulicy Botanicznej. Kilku innych zostało rannych.

Ziemię Lubuską wyzwalał żołnierz I Frontu Ukraińskiego i I Frontu Białoruskiego. W szeregach Armii Radzieckiej tych dwóch frontów walczyło setki tysięcy żołnierzy różnych narodowości Kraju Rad. Wśród nich Białorusini, Rosjanie, Uzbeki, Gruzini, Ukraińcy i Armeńcy. Losy wojny sprawiły, że w tej wielkiej armii walczyło tysiące Polaków. Wiele spośród nich po zakończonej wojnie odnalazło na naszych ziemiach swoje rodziny. Zamieszkał tu na zawsze. W większości osiedlili się na wsi, obejmowali gospodarstwa rolne.

Od początku lat osiemdziesiątych w ramach Związku Bojowników o Wolność i Demokrację doszło do konsolidacji Polaków, byłych żołnierzy Armii Radzieckiej. Powstała Rada Krajowa tego

aktywnie działa w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, 31 w Zjednoczo-nym Stronnictwie Ludowym i 8 w Stronnictwie Demokratycznym, 52 w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Naro-dowego, 27 w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, 15 w Instancjach partyjnych. Pozostali w radach naro-dowych, są członkami Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, a 10 pia-sztuje funkcje sołtysów.

Różne i nader interesujące są drogi życiowe — zwłaszcza w okresie wojny — tej grupy Polaków. Jak chociażby ta: Józef Wolanin (ur. 19.06.1919 r. we wsi Tarnoruda, województwo tarnopolskie). Na początku 1941 r. powołany do służby wojskowej w Armii Radzieckiej na dalekim wschodzie. Po napaści hitlerowskiej na Kraj Rad brał udział w walkach na froncie moskiewskim i w obronie Moskwy. Tam ranny, dostał się do niewoli niemieckiej. Podczas transportu jeńców przez Litwę udało mu się zbiec i przedostać do rodzinnej miejscowości Tarnoruda, gdzie w 1944 roku wstąpił do I Armii Wojska Polskiego i skierowany został do Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych działającej na terytorium ZSRR. Po jej ukończeniu wcielony do organizującej się II Armii Wojska Polskiego. W polskim mundurze przeszedł szlak bojowy II Armii. Jako oficer LWP brał udział w walkach o Drezno i nad Nysą Łużycką. Jako działacz PZPR w latach 1969—1974 pełnił obowiązki zastępcy przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Był Kuratorem

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Itak, poruszając się na ślepo w ciemności czy stojąc godzinami w kącie pokoju, jak wieszak na kapelusze, czuję jak pogrążam się głębiej w samo piekło. Histeria stała się normą. Śnieg nigdy nie stopniał.

Knując najbardziej diaboliczne plany, by doprowadzić Stasię do całkowitego załamania, i w ten sposób pozbyć się jej na zawsze, wymyślałem też potwornie idiotyczne założenia kampanii celem powtórzenia jej zdobycia. W każdej mijanej wystawie sklepowej dostrzegałem prezenty, które chciałem kupić dla niej. Kobiety uwielbiały prezenty, zwłaszcza te kosztowne. Poza tym lubiła słodkie drożdżki, zależnie od nastroju. Potrafiłem spędzić cały dzień, rozważając, czy kupić jej stare bardzo drogie kolczyki, czy oibryzmia, czarną świecę. Nigdy bym się nie przyznał, że na jakiś kosztowny prezent po prostu nie było mnie stać. Nie, jeśli tylko upewniłbym się, że kolczyki sprawią jej większą przyjemność, to także przekonałbym samego siebie, że byłbym w stanie znaleźć jakiś sposób, by móc je kupić. Mówię, że byłbym w stanie przekonać siebie samego, ponieważ w głębi serca wiedziałem, że nigdy nie zdecyduję się na żaden z prezentów. To była rozrywka. Prawda, że mógłbym spędzić dzień w lepszy sposób, na rozważaniu kwestii wyższych, na przykład, czy dusza jest śmiertelna, czy też nieśmiertelna, ale dla maszyny umysłu każdy problem jest tak samo dobry. W tym samym duchu mógłbym rozbudzić w sobie ochotę, by przejść pięć czy dziesięć mil celem pozyczenia dolara i mieć poczucie pełnego triumfu, gdyby mi się udało wyzyskać dziesięć czy choćby pięć centów. Jakże nadzieje mogłem wiązać ze zdobyciem dolara, było rzeczą nieistotną; liczyło się jedynie to, że stać mnie było jeszcze na taki wysiłek. Znaczyło to, że mojego zdegenerowanego punktu widzenia, że nadal jeszcze jedną nogą byłem na tym świecie.

Tak, przypomnienie sobie o takich rzeczach, od czasu do czasu, było bardzo ważne, by nie postępować jak Akond ze Swot. Do tego, nie było nigdy nimi wstrząsnąć i powiedzieć, kiedy wracali do domu o trzeciej po południu z pustymi rękami: „Nie przejmujcie się, pójdę kupić sobie sandwicza”. Czasami, co pewne, ja dałem tylko sandwicza w wyobraźni. Ale czułem się dobrze dając im do zrozumienia, że nie postawiałem całkiem bez środków utrzymania. Raz czy dwa razy udało mi się nawet je przekonać, że jadłem befsztyk. Oczywiście, zrobiłem to wyłącznie, by je politywać. (W jakim celu miałbym zjadać befsztyki, kiedy one spędzały całe godziny w kawiarni czekając aż ktoś zaproponuje im coś do zarcia?)

Niekiedy witałem się tak: „A więc udało wam się coś zjeść?”

To pytanie nieodmiennie wprawiało je w zakłopotanie.

„A ja sądziłem, że przysmieracie głodem” — mówiłem.

Na to one natychmiast informowały mnie, że nie są zainteresowane przysmieraniem głodem. Stałe przy tym dodawały, że nie ma powodu, abym i ja głodował. Robiłem to wszystko wyłącznie, by im dokuczyć.

Jeśli byli w pogodnym nastroju, kontynuowały temat. Jakże nowe diabełstwo miałem w swych planach? Czyżbym ostatnio widział się z Kronskiem? I zaczynała się rozmowa, co było jakby zastaną dymną — o ich nowych znajomych, nowo odkrytych knajpach, skokach do Harlemu, pracowni, którą miała wynająć Stasia, i tak dalej, i tak dalej. Ach tak, zapomniały mi powiedzieć o Barley'u znajomym poecie Stasi, którego spotkały poprzedniego wieczoru. Ma wpaść kiedyś popołudniem. Chce mnie poznać.

Któregoś wieczoru Stasię wzięło na wspominki. Prawdziwe, o ile mogłem się zorientować. O drzewach, o które niegdyś pieściła się w świetle księżycy, o perwersyjnym milionerze, co się w niej zakochał z powodu jej owłosionych nóg, o rosyjskiej dziewczynie, która chciała się z nią kochać, ale którą odepchnęła, bo ta zbyt mało miała oglady. Poza tym, Stasia miała wtedy romans z zamężną kobietą i, by zamydląc oczy jej mężowi, pozwalała mu się pieprzyć... nie dlatego, że ją to cieszyło, ale ponieważ ta żona, w której się kochała, uważała, że należało to romansować.

„Nie wiem dlaczego opowiadałam wam te wszystkie rzeczy” — powiedziała. „Chyba, że...”

Nagle sobie przypomniała. Ze względu na Barley'a, Barley był dziwnym typem. Co ich do siebie ciągnęło, sama nie wiedziała. Stała udawała, że chce się z nią przespać, ale nigdy nie się z tego nie wykiło. W każdym razie był dobrym poetą, tego była pewna. Od czasu do czasu, mówiła, układała wiersz w jego obecności. A potem rzuciła dziwny komentarz: „Mogłabym dalej pisać, a on by mnie masturbował”.

Chichotki.

„Co o TYM sądzicie?”

„Brzmiał jak karta z Krafft-Ebinga” — rzuciłem.

Nastąpiła długa dyskusja dotycząca rzekomych zasług Karffa Ebinga, Freuda, Forela, Stekela, Weinigera et alia, zakończona uwagą Stasi, że to wszystko stara śpiewka.

„Wiesz, co mam zamiar dla ciebie zrobić?” — wykrzyknęła. „Mam zamiar pozwolić zbadać się twojemu przyjacielowi, Kronskiemu”.

„Jak to — zbadać się?”

„Sprawdzić moją anatomię”.

„Sądziłem, że masz na myśli głowę”.

„To też może zrobić” — powiedziała, zimna jak glaz.

„I jeśli sprawdzi, że wszystko jest w porządku, to będzie znaczyło, że jesteś tylko polimorficznie perwersyjna, czy tak?”

To określenie, zapożyczone od Freuda, niesłychanie je polaskotało. Stasi tak się spodobało, że przysięgła napisać wiersz o tym tytule.

Zgodnie z jej słowami, Kronski został wezwany, by przeprowadzić stosowne badania. Przy był w świetnym humorze, zacierał ręce i strzełajac palcami.

„O co chodzi tym razem, panie Miller? Jest pod ręką jakaś wazelina? Ciasna sprawa, o ile znam się na swojej robocie. Choć to niezły pomysł. Przynajmniej się przekonamy, czy jest hermafrodyta, czy nie. Niewykluczone, że odkryjemy szczątkowy ogon...”

Stasia zdjęła już bluzkę i pokazywała swe śliczne, zakochane koralemi piersi.

„Tu nie złego nie widzę” — stwierdził Kronski oblatując je. „A teraz ściągaj portki!”

Tu się sprzeciwiała. „Nie tutaj” — wrzasnęła.

„Gdzie tylko zechcesz” — powiedział Kronski. „Może w toalecie?”

„Dlaczego nie zbada jej pan w jej własnym pokoju?” — powiedziała Mona. „To nie jest w końcu pokaz ekshibicjonistki!”

„Ach, nie?” — powiedział Kronski, oblesnie ly

piąc na nie okiem. — A ja sądziłem, że właśnie o to chodziło”.

Poszedł do pokoju obok przynieść swoją czarną torbę.

„Przyniosłem narzędzia lekarskie, żeby to wyglądało bardziej oficjalnie”.

„Nie zrobi jej pan krzywdy?” — krzyknęła Mona.

„Nie, chyba że będzie się opierała” — odpowiedział. „Znalazł pan tę wazelinę? Jeśli nie macie, to może być oliwa z oliwek... albo masło”.

Stasia skrzywiła się. „Czy to wszystko konieczne?” — zaatakowała.

„To zależy od ciebie” — powiedział Kronski.

„Zależy czy jesteś wrażliwa. Jeżeli będziesz spokojnie leżeć i zachowywać się porządnie, to mogę tam wsadzić coś innego”.

„Pod żadnym pozorem!” — krzyknęła Mona.

„O co chodzi, jesteś zazdrosna?”

„Zaprosiliśmy tutaj pana jako lekarza. To nie burdel!”.

NEXUS

Henry Miller



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

„Lepiej stałybyście finansowo, gdyby to był dom uciech” — powiedział Kronski z drwiną — „A przynajmniej na pewno ONA... No dalej, do roboty!”

Po czym wziął Stasię za rękę i poprowadził do małego pokoiku obok toalety. Mona chciała pójść z nimi, żeby się upewnić, czy nie zrobił Stasi jakiejś krzywdy. Ale Kronski nie chciał nawet o tym słyszeć.

„Jest to wizyta czysto zawodowa” — powiedział, zacieraając z radością ręce. — A co do pana, panie Miller — tu spojrzal na mnie znacząco — „gdyby był na pańskim miejscu, to udałbym się na mały spacer”.

„Nie, zostani! — błagała Mona. — „Nie wierzę mu”.

No więc zostaliśmy. Mona i ja, spacerując po długim pokoju bez słowa.

Upłynęło pięć minut, potem dziesięć. Nagle z sąsiedniego pokoju dobiegł nas przeraźliwy wrzask: — „Ratunku! Ratunku! On mnie gwałci!”

Wpadliśmy do pokoju. A jakże, Kronski stał z opuszczonymi spodniami, z głową czerwoną jak burak. Próbował jej dosiąść. Jak tygrysyca Mona rzuciła się na niego i rzuciła z łóżka. Potem

wyskoczyła z łóżka Stasia, dopadła go i siadła na nim okrzakiem. Z całej siły okładała go pięściami i drapała. Biedaczysko był tak zaskoczony atakiem, że ledwie mógł się bronić. Gdybym się w to wszystko nie włączył, pewnie wydrapałby mu oczy.

„Ty skurwysynie!” — wrzeszczała Stasia.

„Sadyści!” — wrzeszczała Mona.

Robili taki zgiełk, że byłem pewien, iż za chwilę zjeżdże gospodyni z rzeźniczym toporem.

Gramoląc się na nogi, ze spodniami nadal na wysokości kostek, Kronski zdołał w końcu wykrzusić: „O co to całe zamieszanie? Jest normalna, tak jak przypuszczałem. Właściwie, aż

PANIE Miller? Ale niech mnie pan nie próbuje wyrzucać za to, że chciałem się panu przysłużyć”.

Stasia nadal stała całkiem goła, ze spodniami na ramieniu. W końcu oprzytomniała i zaczęła wkładać portki. Poślizgnęła się przy tym i upadła. Mona natychmiast pośpieszyła z pomocą, ale została zdecydowanie odepchnięta.

„Zostaw mnie w spokoju!” — krzyczała Stasia. „Sama sobie poradzę. Nie jestem dzieckiem”.

Mówiąc to, podniosła się. Przez chwilę stała wyprostowana, a potem skłoniła głowę w dół i spojrziała na siebie, na samo centrum swej anatomii i wybuchnęła śmiechem, takim obłąkańczym śmiechem.

„A więc jestem normalna!” — powiedziała śmiejąc się jeszcze głośniejsze. „Co za żart! Normalna, ponieważ mam tu dziurę na tyle dużą, że można coś w nią wsadzić. Hej, podaj mi świecę! Pokażę wam, jaka jestem normalna!”

Zaczęła przy tym robić nieprawdopodobnie obsceniczne gesty, przekrzywając miednicę, poruszając nią jak w orgastycznym uniesieniu.

„Świeca!” — wrzeszczała. „Dajcie mi tę dużą, grubą, czarną!”

„Proszę, Stasiu, przestań, błagam cię!” — krzyknęła Mona.

„Tak, dość tego!” — powiedział Kronski poważnie — „Nie trzeba nam żadnych pokazów”.

Samo słowo pokaz chyba jeszcze bardziej ją rozpalilo.

„To jest MOJ pokaz” — wrzasnęła. „Tym razem gratisowy. Przeważnie mi płacą za robienie z siebie durnia, no nie?” Zwróciła się do Mony. „NIE?” — syknęła. „A może nie powiedziałam im, jak zdobywamy pieniądze na czynsz?”

„Proszę Cię, Stasiu, PROSZĘ!” — błagała Mona. W oczach miała łzy.

Ale teraz nie: już nie mogło powstrzymać Stasi. Porwała świecę z komody i wetknęła ją sobie w krocze, kręcąc przy tym miednicą jak oszalała.

„Czy to nie warte z pięćdziesiąt dolarów?” — wykrzyknęła. „Ten jakmutam zapłaciłby nawet więcej, ale bym potem musiała dać mu się posać, a nie lubię jak mnie ssają. Przynajmniej zboczeńcy”.

„Przestań! Przestań, bo stąd ucieknę” — to od Mony.

Uspokoili się. Świeca upadła na podłogę. Jej twarz zmieniła swój wyraz. Wkładając bluzkę powiedziała cicho, kierując swe słowa do mnie: „Widzisz, Val, jeśli już ktokolwiek musi przejść przez rany i poniżenia, to ja a nie twoja droga, znana żona. Ja nie mam poczucia moralności. Mam tylko miłość. Kiedy potrzeba pieniędzy, zawsze mogę się powyżgnąć. Skoro je stem wariatka, to nie to nikomu nie szkodzi”.

Przerwała i odwróciła się do serwantki w kącie pokoju. Wyciągnęła szufladę i wyjęła stamtąd kopertę. „Widzisz to?” — powiedziała, machając w powietrzu kopertą — „Wystarczy na zapłacenie czynszu za następny miesiąc. ALE” — i spokojnie przystąpiła do darcia koperty w drobne kawałki — „my nie chcemy takich pieniędzy, nieprawdaż? Sami wiemy, jak sobie dać radę... dając pokazy, udając, że jesteśmy lesbijkami... udając, że jesteśmy lesbijkami na niby. Udawania, udawanie... mam go dość. Czemu nie udajemy, że jesteśmy po prostu ludźmi?”

Teraz przemówił Kronski.

„Oczywiście, że jesteś człowiekiem, i do tego niezwykłym. Gdzieś tam po drodze zmieniłaś się w sukę — jak, nie wiem. A co więcej, nie chcę wiedzieć. Gdybym sądził, że mnie posłuchasz, to namawiałbym cię, żebyś się stąd wyniosła i zostawiła tych dwoje”. Obrzucił Monę i mnie pogardliwym wzrokiem. „Tak, żebyś ich zostawiła i niech sobie sami rozwiązują swoje problemy. Oni cię nie potrzebują, a już na pewno TY ich nie potrzebujesz. Nowy Jork to nie miejsce dla ciebie. Szczerze mówiąc nie ma dla ciebie odpowiedniego miejsca... Ale właściwie chciałem powiedzieć, że... Przyszedłem tu jako przyjaciel. Ty potrzebujesz przyjaciela. Jeśli chodzi o tych dwoje, to oni nawet nie znają znaczenia tego słowa. Z całej trójki ty jesteś najzdrowsza. I jest w tobie także trochę geniuszu...”

Myślałem, że nigdy nie skończy... Nagle jednak, na głos przypomniał sobie, że ma pilną wizytę i raptownie się oddalił.

Później tego wieczoru — postanowiły nie wychodzić — zdarzyła się dziwna rzecz. Stało się to po kolacji, w samym środku przyjemnej rozmowy. Skończyły się nam papierosy i Mona zaczęła mi zaglądać do swojej torebki. Przeważnie na dnie wałał się tam jakiś papieros luzem.

Wstałem więc i podszedłem do serwantki, na której leżała torebka i kiedy ją otwierałem, zauważyłem kopertę zaadresowaną na Monę pisemem Stasi. W sekundę Mona była przy mnie. Nie mogąc się powstrzymać, chciała mi wyrwać kopertę. Z kolei ja wyrwałem kopertę z jej dłoni. Próbowała znów mi ją zabrać i zaczęła się szamotanina, po której podarta koperta upadła na podłogę. Stasia przydepnęła ją i zwróciła Monie.

„O co to całe zamieszanie?” — powiedziałem, podświadomie powtarzając słowa Kronskiego.

Obie odpowiedziały jednocześnie: „Nie twój interes”. Nie więcej nie powiedziałem. Ale zdecydowanie wzbudziło to moją ciekawość. Miałem przeczuć, że ten list znów się pojawi. Lepiej więc było udawać kompletny brak zainteresowania.

Jeszcze później tego samego wieczoru, kiedy poszedłem do toalety, odkryłem pływające w muszli kawałki koperty. Zachichotałem. Co za marny sposób przekonywania mnie, że list został zniszczony! Nie dawałem się nabrać tak łatwo. Wyłowilem kawałki koperty z muszli i dokładnie je obejrzałem. W żadnym kawaleczku nie było ani śladu listu. Byłem już teraz pewien, że sam list się zachował i został ukryty gdzieś, w jakimś miejscu, na które bym nigdy nie wpadł.

CDN

(Fragmenty prozy Henry Millera pt. „Nexus” w przekładzie Romana Czarneckiego przytaczamy za miesięcznikiem „Pismo” nr 7-9 z ub.r.)



Reprod. Cz. LUNIEWICZ

PIARCI mentał 1980 r.



ZIELONOGÓRZANIE W GORZOWIE

Donoszę, że w styczniu 1988 roku gorzowskie Biuro Wystaw Artystycznych oba swoje lokale udostępniło artystom plastykom zielonogórskim. Zdarzyło się to pierwszy raz w historii gorzowsko-zielonogórskich stosunków kulturalnych.

W Małej Galerii BWA była czynna wystawa prac graficznych Janusza Skiby, od 1963 r. mieszkającego i tworzącego w Zielonej Górze. J. Skiba studiował malarstwo u profesorów J. Świdorskiego i W. Taranczewskiego, a drze woryt u prof. I. Gardowskiego w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przez ponad 20 lat po ukończeniu studiów nie miał wystaw indywidualnych. Uczestniczył w ekspozycjach zbiorowych, ale to nie to samo, co szerokie prezentacje własnego dorobku. A skoro nie wystawiał indywidualnie, to i nie był dostrzegany przez krytykę. Owszem, wymieniano jego nazwisko, ale za wsze w związku z konkursami, w których uczestniczył i zdobywał nagrody. Prace J. Skiby były nagradzane między innymi przez jury „Salonu Jesiennego”, „Złotego Grona”, konkursu „Pięć kno Ziemi Bułgarskiej”, III Polsko-Fińskiej Wystawy Grafiki Marynistycznej. Za całokształt dorobku twórczego otrzymał Lubuską Nagrodę Kulturalną i Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry. Jego prace oglądali mieszkańcy Berlina, Helsinek, Turku, Heidelbergu, Cottbus (Chociebuża), a także — Warszawy, Szczecina, Lublina, Poznania, Wrocławia, Radomia i wielu miejscowości Ziemi Lubuskiej. Dopiero w 1980 r. zielonogórskie BWA zorganizowało pierwszą indywidualną prezentację dorobku artystycznego J. Skiby. Od tego czasu jego twórczość była wystawiana wielokrotnie, w tym aż 5 razy w Zielonej Górze i Gorzowie.

Janusz Skiba ma już 55 lat i ogromne doświadczenie plastyczne. Dopracował się własnego stylu, wyraźnie różniąc się od tego, co przekazał mu profesorowie krakowskiej uczelni. W Małej Galerii gorzowskiego BWA artysta wystawił 38 prac, powstałych z wyjątkiem „Kompozycji II”, w latach 1980—

1986. Niektóre są własnością galerii państwowych, inne jeszcze znajdują się w kolekcji autora. Wcześniej były przechowywane w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie, biblioteki wojewódzkiej w Gorzowie i Zielonej Górze, biur wystaw artystycznych w Wałbrzychu i Zielonej Górze, Muzeum Zamkowego w Malborku, Muzeum Wojska w Białymostku.

J. Skiba jest pilnym obserwatorem natury, co nie znaczy, że w trakcie mrowczej pracy odwzorowuje zapamiętane sytuacje. Natura, świat realny, inspirują artystę do subiektywnego interpretowania zjawisk fizycznych, chemicznych czy psychologicznych, których jedynym autorem jest przyroda. W sobie rozumiał sposób grafik wyjaśnia je, każąc obserwatorowi jego prac odczytywać już tylko symbole i znaki znacznie przekształcone, choć jak już powiedziałem, mające swoje odpowiedniki w naturze. Artystę interesuje całe życie biologiczne, wydaje się, że jednak najbardziej frapuje go ruch — ptaków i zwierząt, który stara się przekazać w formie plastycznej. W przeciwieństwie do prac wcześniejszych, obecnie zupełnie zrezygnował z narracji, a nawet uprościł kompozycję. W tych najnowszych pracach brakuje człowieka, a jeśli pojawiają się kontury sylwetek ludzkich, to jako dopełnienie dzieła („Homo III”, „Zmumifikowany”, „Zmumifikowana”). Świat przez niego interpretowany jest i realny, i abstrakcyjny, choćby w „Pojedynku”, „Biesiadzie”, „Elegii”. To indywidualne oblicze grafik J. Skiby fascynuje i niepokoi. Obok tych prac nie można przejść zupełnie obojętnie, jak i nie można obejrzeć ich „w przelocie”. One wymagają skupienia i traktowania oglądania, a potem, w spokoju przeanalizowania. Grafiki Janusza Skiby pozostawiają ślad w pamięci odbiorcy, co oznacza, że artysta osiągnął zamierzony cel.

W salach BWA „Art-Stilon” wystawiła też swoje tkaniny i grafiki zielonogórzanka Agata Buchalik-Drzyzga. Większość tych prac artystka prezentowała w grudniu ubiegłego roku w zielonogórskim BWA. Pamiętam, że pani Agata obiecywała pokazać w Gorzowie, co zostało napisane w dość estetycznie wykonanym katalogu, 4 prace malarstwa. Dokładnie obejrzałem ekspozycję gorzowską, o wyjaśnienie poprosiłem dyrektora BWA, ale on beznadziejnie rozłożył ręce: nie ma malarstwa. Wyboru prac i aranżacji wystawy dokonała sama artystka, było może w ostatniej chwili zmieniła swój poprzedni zamiar? Prezentacja tkanin i grafik Agaty Buchalik-Drzyzgi w gorzowskim „Art-Stilonie” była ciekawsza niż w BWA zielonogórskim, a to pewnie i dlatego, że artystka otrzymała do zagospodarowania nie jedną wielką salę, lecz cztery mniejsze oraz korytarz. Oba wystawom — wcześniej zielonogórskiej, teraz gorzowskiej — towarzyszyło niemałe zainteresowanie publiczności.

ALFRED SIATECKI

Mity i maski

W kwietniu miną cztery lata od śmierci Jana Dębka. Trudno uwierzyć, że nie ma wśród nas tego nieprzeciętnego człowieka. Mielimy do czynienia z osobowością niejednoznaczną, dużego formatu. Raz fascynującą, innym zaś razem — odpyskającą. Ale zawsze pełną wewnętrznego ognia. Ową żarliwość, tak widoczną w artykułach publicystycznych, odnaleźć możemy również w ośmiu opublikowanych wierszach. Utworach szczególnych, uderzających nieskrępowaną szczerością pytań o sens człowieczego, własnego istnienia.

Filozofia „Informacji” i „Komunikatów” jest dla mnie tragiczna, bo zwyfikowaną przez zbyt wczesną śmierć, próbą hierarchizacji tego, co w życiu najważniejsze: uczuć, przeżyć i aktywności. Próbą nadania własnemu życiu toru najwłaściwszego, choć spalającego, aż do samounicestwienia. I jest to godne szacunku, bowiem nie w tych wierszach nie świadczy o zgodzie na rzeczywistość bezpośrednio daną. We wszystkich utworach znać potrzebę modelowania świata i jego silnego odbioru — od apoteozy do zwątpienia.

Poeta to żarliwy obserwator, który i siebie nie oglądał z dystansu, i starał się głęboko wnikać w analizowany stan. I nigdy nie pozwalał na bezosobowy chłód. Garbił się i przymierzał do świata. Kilkakrotnie nakładał maski, by owa przymiarka wypadła jak najlepiej. Czynił to również na użytek innych czułych obserwatorów.

Wydaje się, że w wierszach wydanych w tomiku „Zapewne mnie zrozumiesz”, wyodrębnić możemy kilka poetyckich masek. Spróbujmy je nazwać i określić:

ESTETA O SERCU ŚWIĘTEGO FRANCISZKA

Jan Dębek odbierał świat w jego najczystszej, estetycznej postaci. Wielbil piękno muzyki, porozumienie z drugim człowiekiem, ludzką dobroć, poświęcenie matki. „Wierzysz, że świat jest pięknym”. Ta radość odkrywania urody życia miała w sobie potrzebę zaprzeczania własnym skargom, rozterkom, samotności i złu. Oczywiście, daleko temu do błazenady. Estetyzm nie jest pozorem, raczej przeświadczeniem i wyborem. Wiarą w piękno i dobro.

POEZJA DEKLARACJI

Aktowi szukania prawdy towarzyszy potrzebą wykrzyknięcia niejako własnej radości, uzewnętrznienia owej pierwskiej maski. Dlatego świat w ujęciu Dębka nie jest piękny poprzez obrazy świadczące o urodzie, ale w autorskiej deklaracji i stwierdzeniu, bez zbędnych

przykładów. Podobnie odczuwana jest miłość do bliźniego. Wypowiadamy „ra doś oddania kosztu”, gdy napotkany człowiek jest dobry. „Wielkim sukcesem człowieka jest dobroć absolutna”. Dębek w respektowaniu przykazania „kochaj bliźniego swego...” widział istotę człowieczeństwa. Jego wyobraźnia toleruje osiągnięcia fizyki, architektury i literatury. Lecz jedynie, co naprawę popiera, uznaje, to — drugi, kochany dla swego człowieczeństwa — bliski.

Deklaracja miłości nie wytrzymuje naporu innej, jakże ludzkiej cechy: nienawiści (pamiętamy łacińskie „odi et amo”). Esteta wie o brzydocie, zaś święty Franciszek o złu. Dlatego obserwujemy huśtawkę: dobro — zło. Przy czym zło traktowane jest metaforycznie i bardzo ogólnie jako subiektywne widzenie np. końca przyjaźni. Konieczność wyboru powoduje, iż owo zło, nie nawiść, wypowiedziane, artykułowane są ze sztucznym, choć okrutnym patosem. Stwierdzenie „Tedy pożegnajmy się” zupełnie nam nie pasuje do deklarowanych uprzednio uczuć miłości. Poeta każe nam bowiem pamiętać, że do bro najczęściej pozostaje poza nami, bardzo rzadko jest w nas samych. Zawieść i okrucieństwo są tak naturalne i prawdziwe, tym prawdziwsze, im bardziej potwierdzają się w oczach innych ludzi.

LUSTRA

Otoczenie tworzy zwierciadła, w których wielokrotnie odbija się nasze „ja”. W oczach bliźnich podlegamy sądom, surowej ocenie, tak często odległej od własnych wyobrażeń o sobie. Poprzez pryzmat innych osobowości ustalone są relacje, orzeka się o wartościach, porządkuje doświadczenia. Tak silnie zależymy od innych, iż nadchodzi chwila, by w drugim człowieku widzieć śmiertelnego wroga. „Z miłym bawisz się w zabijano”. Możesz być zabity, ale również możesz sam zabijać. To widzenie człowieczeństwa jest pogłębione, choć nienowe. Najważniejszy jest w tym pierwiastek osobistej samowiedzy i samoświadomości. Dochodzi do stanu, kiedy świat rozszepia się na dwie równoprawne części, filozofię Abla i filozofię Kaina. Daleko temu do widzenia schizofrenicznego, ale ambiwalencja, w przypadku doświadczenia poetyckiego pozostaje trwała. Coś się załamało: i dobro, i zło mają jednakowe szanse w ocenie rzeczywistości.

Motto zaczerpnięte z profesora Antoniego Kepińskiego, „Ucz się pogody rezygnacji, umiędzielnienia przegrany”, jest przyznaniem do najlepszego bodaj wiersza „Tępnym uczniem jesteś”. Nie znajdujemy w nim nic z poprzednich stanów euforii, także zwątpienie nie jest totalne. Poeta jest na tropie złotej środka ukojenia, ale czuje, iż nie dorasta jeszcze do mądrych nauk lekarza, psychiatry-filozofa. Miłość ociera się o rozpacz i trudno zostać mistrzem spokojnej radości, trudno przegrwać, zbyt wiele bowiem w życiu jest do zdołania, do przeżycia, do poznania. Najsilniej znać w wierszu po raz pierwszy

zmysłowy dysonans między modlitwą a rzeczywistością, między marzeniem a spełnieniem. I wtedy okazuje się, że trudno jest grać, gdy wyczerpują się delikatne środki wyrazu. Jeszcze trudniej „sprzedawać radość wiary w przemianę”, gdy owej wiary i radości brakuje. Okrutnie jest przegrywać z samym sobą. Maska świętego Franciszka układa twarz, a rzeczywistość, „kalendarz pełen rejestrowanych niespełnionych długów” — doskwiera i upomina o swoje prawa. Jak trudno oszukać samego siebie...

MITY NA WLASNOŚĆ

W wierszach Jana Dębka wyróżniają się dwa mity bardzo osobiste, choć uczestniczące w formułowaniu poetyckiego światopoglądu. Świat bowiem potrzebuje mitologii, a człowiek mitów. I to rzy jest na własny użytek, często z nich korzysta, a jeszcze częściej niszczy.

Matka. Wobec matki poeta ma ciągle wyrzuty sumienia. Jest albo złym człowiekiem, albo złym synem. Zbyt zajęty i pochłonięty sobą, swoją karierą, by owej samotnej, steranej matce poświęcić czas. Niepostrzeżenie, jakby na usprawiedliwienie, dokonuje się proces mityzacji negatywnej, świadomego tworzenia brzydkich, naturalistycznych obrazów matki. Mit staje się wywołką. Matka w wizji poety jest bezwolna, gdyż żaden z jej wysiłków nie jest nikomu potrzebny. Nie powinna mieć tylko powodów do płaczu, „w szlafroku, w papilotach i rozdeptanych kapciach”. Ta lepkka i mdła zwyczajność przełamana jednak zostaje strofą, w której dotychczasowe „NIC” nabiera innego prawdziwszego wymiaru: matka moja / nie manifestuje pokładanych / w nas nadziei i mówi że / może li czyć tylko na siebie / z tego też powodu wynajduje / nowe powody do płaczu i tak / okazuje swoją radość”. Mit matki utożsamiać możemy z poczuciem przerażającej — w tłumie — samotności, skazania przez najbliższych na odepchnięcie, na dystans.

Alkohol: To odtwórka na to wszystko, co dotąd bolało, tłamsiło, nie dawało się nazwać, posegregować. Gdy tępy uczeń przestaje panować nad sobą i grymasem własnej twarzy — sięga po kieliszek. Wkłada kolejną maskę, upodabnia się do Nikogo, a kryje to, co gnębi i dotyka. Nie jest już taki szczery w okazywaniu uczuć, jest szczery jedynie w akcie przyznania się do popełnionej mistyfikacji, z jej wszystkimi skutkami. Jak nieprawda okazały się wszystkie euforie, zachwyty i strachy. Odczuć spazmizowała świadomość upodlenia.

Ileż masek zakrywa ludzkie oblicze. Jak ciężką drogą trzeba przeżyć, by chcieć się za nimi skrywać. A może owe maski są po prostu kolejnymi wienieniami, kolejnymi prawdami? Zdobywanymi w walce o właściwą myśl, o najszczęśliwą myśl?

MAŁGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA

Jan Dębek: „Zapewne mnie zrozumiesz”. Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry. Zielona Góra 1987.



O prasie i kulturze

Codziennie w województwie gorzowskim ukazuje się zielonogórsko-gorzowska „Gazeta Lubuska”, co tydzień — „Ziemia Gorzowska”. Te dwa tytuły wyprzedzają potężną wiedzę o prasie lokalnej mieszkańców regionu. Tymczasem w minionych 40 latach było jeszcze 95 tytułów. Tyle naliczyli Krystyna Kunicka, Bogdan Kunicki i Henryk Szczepański — autorzy książki „Prasa gorzowska 1945-1985” wydanej przez Gorzowskie Towarzystwo Naukowe.

We wstępie sprecyzowano cel opracowania: „Skatalogowanie, opis i analiza możliwie wszystkich wydawnictw prasowych i prasopodobnych, jakie ukazywały się w latach 1945-1985 na obszarze określonym mianem Ziemi Gorzowskiej”. Do katalogu włączono pisma periodyczne, mutacje terenowe, jednostronki, dodatki specjalne i biuletyny, a więc przyjęto możliwie najszerszą, a więc definicję prasy. Katalog ten obejmuje ponad 200 stron druku. Każdy tytuł wydawniczy został wnikliwie omówiony, dokonana została pełna analiza prasoznawcza, informacja uzupełniająca zdjęcia główek pism. Każde z nich analizowane było z autopsji, co nie jest łatwe zważywszy, że nigdzie nie ma kompletnych czasopism. Najobfitszym, choć także zdekompilowanym zbiorem dysponuje Biblioteka Narodowa.

Ten z pozoru suchy katalog jest niezwykle ciekawym źródłem wiedzy o minionych 40 latach, o przemianach polityki, o naszych ambicjach i upodobaaniach. Próbę wyciągnięcia wniosków uogólniających podjął B.J. Kunicki w

końcowym szkicu, który, niestety, jest nieproporcjonalnie — w stosunku do pozostałych części — krótki i nazbyt jednostronny.

W końcu lat 40-tych wydawano pisma informacyjne, odpowiadające zapotrzebowaniu społecznemu, a im były one bliższe problemom lokalnych, tym okazywały się ciekawsze. Natomiast nie sprawdziła się inicjatywa z początku lat 50-tych wydawania tygodników powiatowych, przede wszystkim dlatego, że były one przesycane propagandą, dalekie od codziennych doświadczeń odbiorców, choć przecież słuszne pod względem ideologicznym. Wszystkie pisma tego typu upadły po 1956 r. później nie ceniono pism lokalnych. A przecież o tęsknotach do nich i o ich potrzebie świadczy ilość wydanych w latach 50-tych i 60-tych jednodniówek. Każde miało małą ambicję wydawania swojego pisma przy politycznych czy rocznicowych okazjach. Najwięcej było ich w Gorzowie. Na prawach jednodniówki przez wiele lat ukazywała się wydawała na przez Gorzowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne „Ziemia Gorzowska” o ambicjach magazynu społeczno-kulturalnego a nawet artystycznego. Bogdan J. Kunicki zdaje się być bardzo przywiązany do takiej formuły pisma i właśnie w niej widzi wzorzec, do którego czyni odniesienia.

W szkicu o „Społecznych funkcjach gorzowskiej prasy” Bogdan J. Kunicki wiele miejsca poświęca obecności na łamach pism tematyki kulturalnej, a szczególnie stosunku do dokonania miejscowego środowiska twórczego. Dochodzi przy tym do wniosku, że wokół redakcji nieprofesjonalnych niejako spontanicznie rodzi się krąg aspirantów, ponieważ nie ma bariery ograniczającej dostęp na łamy. Natomiast po profesjonalizacji pisma bariera ta — mimo zażętych strony redakcji — wydaje się aspirantom tak wysoka, że tylko nieliczni podejmują próbę jej przekroczenia. Tak więc tworzenie stałych pism nie rozwija ruchu młodoliterackiego. Tę zależność Kunicki wyraźnie określa, winę za stan rzeczy rozkładając na obie strony. Natomiast ma wyraźny żal do prasy za nikły rozwój miejscowego środowiska artystycznego, za brak społecznego zainteresowania sztuką. Nie dostrzega innych uwarunkowań ani innych niż kulturowe zadań lokalnej prasy, zdaje się nie zwracać uwagi na zapotrzebowania odbiorców.

Tymczasem Józef Mądry, najlepszy znawca problematyki prasy lokalnej stwierdza: „Zawsze były najtrwalsze i najlepiej wywiązywały się z zadań i funkcji społecznych te periodyki lokalne, których treść i forma najbardziej odpowiadały zapotrzebowaniu społecznemu, gustom i oczekiwaniom ich potencjalnej publiczności czytelników. (...) Inaczej mówiąc — stopień poszanowania podmiotowości najszerszych kręgów publiczności czytelniczej zawsze rozstrzygał o szansach rozwoju nakładu pisma lokalnego oraz o jego społecznej roli i skuteczności, z jaką spełnia ono swoje zadania i funkcje” (Józef Mądry: Czynniki sprawczo-rozwojowe i funkcje prasy lokalnej, a determinanty dziennikarskiej realizacji, w: Społeczne funkcje tygodników lokalnych, Katowice 1985).

Nie miejsce tu, by toczyć dyskusję, dlaczego potencjalna publiczność czytelnicza nie traktuje jako najważniejszych problemów kulturalnych, a ściślej artystycznych. Z pewnością cele i funkcje wskazane przez B.J. Kunickiego w nien spełniał magazyn społeczno-kulturalny, ale aby mógł on powstać, potrzebne są (wg J. Mądrego) trzy elementy: istnieć musi potencjał intelektualny, który rozstrzyga o poziomie wydawane go pisma, musi być społeczne zapotrzebowanie na ten typ pisma oraz spełnione muszą zostać warunki techniczno-poglądowe. Wydaje się, że ten trzeci warunek jest — wbrew pozorom — najłatwiejszy do osiągnięcia, ale to już temat na zupełnie inny artykuł albo lekcję na rozprawę naukową.

W sumie otrzymaliśmy rzetelną i wartościową monografię gorzowskiej prasy. Praca trojga autorów ukazuje tylko wyświeczonej części regionu, ale, wycinek bardzo ważny, jak w soczewce kondensujący inne, szersze problemy.

KRYSZYNA KAMINSKA

Krystyna Kunicka, Bogdan J. Kunicki, Henryk Szczepański: Prasa gorzowska w latach 1945-1985. Wydawca Gorzowskie Towarzystwo Naukowe. Gorzów 1987 r. Str. 243. Nakład 1.200 egz. Cena 500 zł.

WIDEOKLUB

"Cztery pancerny i pies" gromadził przed telewizorami ogromną widownię. Nie mniej dzielnie niż żywi bohaterowie spisywał się czołg "Rudy". W filmie "O jeden most za daleko" również czołgi były rekwizytami pierwszoplanowymi. Znany z kaset amerykański obraz "Bitwa o Berghers", jako krwawy epizod II wojny światowej, opowiada o niemieckiej klęsce, kiedy brygada czołgów, dowodzonej przez ambitnego oficera, zabrakło paliwa... i drobniagowo przemysłowa kontrofensywa nie po wiodła się.

Motyw czołgu odżył we współczesnym filmie, prezentowanym w styczniu w Videoklubie w kinie "Bierozka". Obraz zapowiada się na komediową wizję amerykańskiego garnizonu, gdy tym czasem odkrywają się karty skorumpowanej władzy w małym miasteczku rządzonej przez szeryfa i jego klikę. "Banda" działa bezkarnie do momentu, kiedy do akcji włącza się sierżant-hobysta, który przez 15 lat pieczołowicie rekonstruował swego "Shermana", świetnie sprawujący się czołg. Film Chomsky'ego porównywalny jest do znanego

obrazu Sarafina "Znikający punkt". Szybki samochód zastąpiony został przez czołg, stalową "bestię", a w jednym i drugim przypadku bohater ucieka przed policją. Efekt zatargu szeryfa i sierżanta z bazy wojskowej przetrząsa się w zemście przedstawicieli władzy na synu bohatera. Szeryf-sadyści zamyka

"Czołg"

chłopca w areszcie, a na podstawie wyroku miejscowego sędziego otrzymuje dlań trzy lata ciężkiego więzienia. Wszystko to po umiejętnym podrzuceniu chłopakowi narkotyków do szafki. Na sierżanta zostaje wywarty nacisk — albo chłopiec nie przeżyje trudów obozu karnego, albo jego ojciec zapłaci na stopę już łapówkę — 10 tysięcy dolarów.

Zdesperowany ojciec uruchamia swój czołg.

W filmie jest wspaniała muzyka Lalo Schifrina, niebawem podnosząca widzów na duchu. Przy wójtówce mocnych akordów ojciec atakuje biuro szeryfa, po czym rozbija je w pył, demoluje nie mał pól obozu, z aresztu uwalnia przemilego adwokata, który bezskutecznie bronił jego syna, a ze sobą zabiera chłopca i dziewczynę, przez szeryfa

zmuszoną do prostytucji. Wszyscy uciekają z "pola walki", by przedrzeć się do sąsiedniego stanu. Ale jak wyraża się ojciec — nie uciekają przed prawem, lecz pod jego opieką. "Po to, aby mieć uczciwy proces".

Wyczyny bohaterów czołgistów z sympatią obserwowane są przez środowisko masowego przekazu — Ameryka nie byłaby sobą bez rozentuzjamentowanego tłumy, towarzyszącego walce, a przecież nie wszyscy obserwatorzy dokładnie wiedzą, o co naprawdę chodzi, kto ma rację, po czyjej stronie jest prawda. Ważne, iż ktoś goni, a ktoś inny musi uciekać. I ten ostatni wymaga współczucia.

Konstatacja dotycząca wizji prowincjonalnej Ameryki są na pewno cenne, szczególnie dla nas. Wtedy bowiem wzbogać się rozrywka jedynie dotąd warstwa filmu. Dramaturgia, sensacja, nie są tylko czczym przeżyciem, ale mają ciekawski podtekst np. socjologiczny. A wszystko to za sprawą czołgu.

FAN (MM)

"Czołg" ("Tank"), prod. USA 1986. Reżyseria: Marvin J. Chomsky. Scenariusz: Dan Gordon. Wykonawcy: James Garner, G.D. Spradlin, Shirley Jones.

Obraz Beijerena

w Nowej Soli

Za "Gazetą Lubuską" powtarzamy, że w Nowej Soli odnaleziono obraz Abrahama von Beijerena, powstały w 1642 r. Kilka lat temu do dyrekcji muzeum przyszła nowosolanka i zaoferowała do sprzedaży obraz olejny. W trakcie konserwacji prowadzonej w Lesznie odkryto, że nie jest to ani kopia, ani dzieło bezwartościowe, jak pierwotnie sądził pracownik muzeum nowosolskiego, lecz oryginalny obraz Abrahama von Beijerena, malarza tworzącego w epoce Rembrandta. Ustalono, że "Dary morza" (tytuł współczesny) są jednym z trzech dzieł Beijerena znajdujących się w Polsce. Te informacje "Gazeta Lubuska" podała dopiero w styczniu 1988 r. Wcześniej o obrazie odnalezionym w Nowej Soli pisał tygodnik "Przegląd Koniński", piórem red. Marka Winnickiego. Dlaczego? Odpowiedź dyrekcji muzeum: "Zabliźkowałam tę informację. To mój dobry znajomy. Obiecywałam, że będzie pierwszy".

Sejmik NTK

Odbył się VII Sejmik Nowosolskiego Towarzystwa Kultury. Tym razem dyskusja była długa i bogata, a wnioski konkretne. Działalność NTK pragną "wzmocnić starania o budowę auli Państwowego Szkoły Muzycznej, jako sal niezbędnej dla popularyzacji muzyki w środowisku miasta; popierać tworzenie klubów filmowych i młodego twórcy, ze szczególnym uwzględnieniem już istniejącego ośrodka przy Liceum Ogólnokształcącym; udzielić pomocy organizatorom międzywojewódzkiego konkursu pianistycznego". Pragną także współpracować z placówkami kultury w Nowej Soli, współorganizować imprezy z okazji jubileuszy i świąt, "lepiej koordynować poczynania środowiska w zakresie kultury". Na prezesa NTK wybrano ponownie Ryszarda Bucholskiego.

Młody Gorzowianin 1987

Zespół młodych radnych Miejskiej Rady Narodowej w Gorzowie każdego roku wybiera Młodego Gorzowianina. Bohaterem roku 1987 został mistrz Europy w karate — Włodzisław Rój, także najlepszy sportowiec województwa gorzowskiego w 1987 r. Młodzi radni uważają, że W. Rój może być wzorem do naśladowania, gdyż jest i doskonałym sportowcem, i wychowawcą.

Przy okazji informujemy, że tytuł najlepszego sportowca województwa zielonogórskiego otrzymała Barbara Kotowska — srebrna (indywidualnie) i brązowa (drużynowo) medalistka mistrzostw świata w pięcioboju nowoczesnym. B. Kotowska zajęła piąte miejsce w pięcioboju "Przeglądu Sportowego" na dziesięciu najlepszych sportowców polskich 1987 r.

Zjazd wojewódzki

Stowarzyszenia

"Wisła-Odra"

W Gorzowie obradował II Wojewódzki Zjazd Stowarzyszenia "Wisła-Odra". Stowarzyszenie jest kontynuatorem tradycji Polskiego Związku Zachodniego i Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. W województwie gorzowskim do Stowarzyszenia należy około 300 osób, głównie nauczycieli, pracowników naukowych, kombatanów. Ogniwo Stowarzyszenia działają w Gorzowie oraz w Choszczynie, Drawnie, Koszalinie, Myśliborzu, Słubicach, Sulęcinie i Strzelcach Krajeńskich. Podczas zjazdu omówiono dotychczasową działalność kół i członków Stowarzyszenia oraz wytyczono kierunki działania na najbliższe lata. Przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego został ponownie dr Arkadiusz Ogrodowczyk z Akademii Wychowania Fizycznego.

Wydawnictwa GTK i LTK

Pod koniec ubiegłego roku nakładem Gorzowskiego i Lubuskiego towarzy-



stw kultury ukazały się zbiory pamiątek. GTK wydało tom pt. "Wiosna na rumowisku", opracowany przez Zdzisława Linkowskiego. Wśród wspomnień znajduje się bardzo interesujący tekst Floriana Kroenke, pierwszego starosty powiatu gorzowskiego, potem kierownika Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, w Gorzowie w randze wicewojewody. Książkę w nakładzie 1500 egzemplarzy (cena 320 zł) wydrukowała Gorzowska Drukarnia Akcydensowa. W wydawnictwie LTK wyszedł VII tom pamiątek "Mój dom nad Odrą", opracowany przez Janusza Koniusza. Wszystkie wspomnienia są bardzo ciekawe; uwagę czytelników szczególnie polecamy teksty — Janusza Olczaka i Wiesława Sautera. Książkę wydrukowały Zielonogórskie Zakłady Graficzne w nakładzie 700 egzemplarzy, a kosztuje ona 200 zł.

Wystawa fotograficzna

w Gorzowie

Od 33 lat Gorzowskie Towarzystwo Fotograficzne organizuje coroczne wystawy, mające charakter przeglądu drobku członków GTF, i konkursu. W Małej Galerii BWA czynna jest ekspozycja złożona z 180 prac 21 autorów i 10 zestawów przeźroczek, zakwalifikowanych przez jury pod przewodnictwem art. fot. Jarosława Stanisławskiego. Pierwszą nagrodę otrzymał Lech Do minik za pracę bez tytułu. Nagrodę drugą przyznano Aleksandrze i Leszkowi Czarneckim za zestaw "Wszystko co nasze", a trzecią — Mirosławowi Granops za zestaw pt. "Stresy". Jury przyznało ponadto nagrody: im. Zbigniewa Łackiego — Marianowi Łazarskiemu im. Konstantego Ludwińskiego — Mirosławowi Granops, za reportaż — Jarosławowi Biernackiemu, za zdjęcia architektury — Leszkowi Szydłowskiemu i za barwnie przeźroczka — Piotrowi Perczyńskiemu.

Samowar 85-86

Działający w Świebodzinie entuzjaści kina przyznali swoje coroczne nagrody. "Samowar 85-86" otrzymał reżyser Andrzej Barański za film "Kobieta z prowincji". Przyznano również nagrodę "Tęgiej Głowy", którą otrzymał Roman Gutek z Dyskusyjnego Klubu Filmowego "Hybrydy" w Warszawie.

Zaprosili nas:

Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Zielonej Górze na swój XV zjazd; Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze na doroczną spotkanie twórców i działaczy kultury; dyrekcja i zespół Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie na "Pluskwę" Włodzisława Majakowskiego w reżyserii Wiesława Hoidysa, Galeria Wyszłej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze na otwarcie pierwszej wystawy fotograficznej Zbigniewa Pietraszkiewicza; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie XXXIII Dorocznej Wystawy Fotograficznej GTF.

Nadziński (sekretarz red.), Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkel Marii Fiedorowicz, Elżbieta Neutrow, sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW "Prasa-Książka-Ruch" Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-012 Zielona Góra skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor Zbigniew Pietraszkiewicz tel. 317-95. Druk. Drukarnia Prasowa ZWP 65-016 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW "Prasa-Książka-Ruch" na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcji nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 63

Z-20

KONKURSY

... o Laur

Jaworowego Liścia

Jaworski Ośrodek Kultury ogłasza kolejny Konkurs Poetycki pod hasłem "Człowiek — Przyroda". W konkursie mogą wziąć udział poeci wszystkich pokoleń. Na adres organizatorów: Jaworski Ośrodek Kultury, Rynek 5, 59-400 Jawor, (tel. 28-78) należy nadesłać zestaw trzech wierszy, nie przekraczający sześciu stron maszynopisu, w trzech egzemplarzach. Wiersze nie mogą być publikowane do czasu ogłoszenia wyniku konkursu. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do nagrodzonych prac w pierwszej kolejności. Najlepsze prace zostaną nagrodzone: I — 15.000 zł; II — 12.000 zł; III — 10.000 zł oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł.

Prace opatrzone godłem należy nadesłać do dnia 1 marca 1988 roku, z załączeniem: "prace konkursowe". W osobnej kopercie, z tym samym godłem, proszę o podanie imienia i nazwiska autora oraz adresu. Jury konkursu może dokonać zmian w sposobie nagradzania prac, nie zmieniając przy tym ogólnej sumy nagród.

Skład Jury zostanie podany do publicznej wiadomości. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w trakcie IX Jaworskich Biesiad Literackich im. H. Worcella, na przełomie I/II dekady czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody zostanie także odznaczony Laurem "Jaworowego Liścia".

... na książkę

o tematyce warszawskiej

Dla zainspirowania twórczości warszawianistycznej — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, przy współudziale Oddziału Warszawskiego ZLP ogłasza konkurs o charakterze zamkniętym i otwartym na książkę o tematyce warszawskiej. Przedmiotem konkursu jest powieść, zbiór opowiadań lub reportaży literackich oraz esej o historycznej lub współczesnej tematyce warszawskiej.

Prace będą rozpatrywane w 3 kategoriach: powieści, zbioru opowiadań lub reportażu literackiego oraz eseistyki. W każdym z działów przyznane zostaną nagrody: I — 150 tys. zł, II — 100 tys. zł, III — 80 tys. zł.

Jury może ustalić inny podział nagród. Nie ogranicza się ilości utworów nadesłanych na konkurs przez jednego autora.

Utwór zgłoszony na konkurs powinien być nadesłany w 3 egzemplarzach. Objętość prac prozatorskich i eseistycznych winna zamykać się w granicach 7-15 arkuszy autorskich.

Utwór należy opatrzyć godłem. Do utworu dołączyć zamkniętą kopertę oznaczoną tym samym godłem zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

Utwory zgłaszane na konkurs należy nadsyłać do dnia 30 kwietnia 1988 r., z załączeniem na kopercie "Konkurs warszawski", na adres Staromiejskiego Domu Kultury: 00-272 Warszawa, Rynek Starego Miasta 2.

Ogłoszenie wyników konkursu oraz wręczenie nagród laureatom nastąpi we wrześniu 1988 r.

Jury konkursu przewodniczyć będzie prof. Juliusz Gomulicki.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych prac.

... na ekslibris

dzieci i młodzieży

Zary 88

Zachęcenie niespodziewanie dobrymi wynikami I Ogólnopolskiego Konkursu na Ekslibris Dzieci i Młodzieży — Zary 88, spełniając postulaty uczestników tego konkursu, nauczycieli i instruktorów zajęć plastycznych, ogłaszamy II Ogólnopolski Konkurs na Ekslibris Dzieci i Młodzieży. Konkurs jest przeznaczony dla dzieci i młodzieży szkolnej (z wyłączeniem szkół wyższych).

Każdy uczestnik konkursu może dostarczyć dowolną ilość prac ekslibrisów, wykonanych w dowolnej technice graficznej,

bez względu na rok ich powstania. W konkursie nie będą brały udziału prace poprzednio publikowane, uczestniczące i nagrodzone w innych konkursach. Do konkursu nie będą przyjęte projekty i rysunki ekslibrisów. Dopuszcza się natomiast technikę cynkotypii (PI) pod warunkiem przedłożenia do oceny 5 odbitek z płytki chemicznej.

Każdy zgłoszony do konkursu ekslibris należy nadesłać w 5 egzemplarzach autorskich (nieoprawionych).

Szczegółowa tematyka ekslibrisów jest dowolna. Prace konkursowe muszą jednak spełniać warunki znaku własnościowego książki z księgozbioru prywatnego lub instytucji. Do konkursu nie zostaną przyjęte pseudoekslibrisy o treści okolicznościowej, nie związane z żadnym księgozbiorem.

Wymiary prac — dowolne, jednak nie przekraczające formatu A8 (105 razy 148). Na odwrocie każdego ekslibrisu należy umieścić — nazwisko i imię.

Jury może przyznać nagrody specjalne i ufundowane dodatkowo oraz dyplomy honorowe.

Uczestnicy Konkursu, których prace za kwalifikowane będą na wystawie pokonkursowej, otrzymają "dyplomy uczestnictwa i katalog wystawy".

Jury może przyznać nagrody i wyróżnienia nauczycielom i instruktorom prowadzącym uczestników konkursu oraz placówkom i szkołom uczestniczącym w konkursie.

Prace konkursowe prosimy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do 15 czerwca 1988 roku.

Obrady Jury odbędą się w czerwcu 1988 roku.

Podsumowania Konkursu, ogłoszenie wyników i wręczenie nagród odbędzie się w czasie wernisażu wystawy pokonkursowej, planowanej we wrześniu 1988 roku. O dokładnym terminie uczestnicy zostaną przez organizatorów zawiadomieni.

Jury dokona oceny prac, kwalifikacji ekslibrisów na wystawie, przyzna nagrody i wyróżnienia w każdej grupie wiekowej. Organizatorami konkursu są: Lubuski Oddział Polskiego Towarzystwa Miłośników Ekslibrisu w Żarach, Wydział Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Żarach, Wydział Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miejskiego w Żarach, Żarskie Towarzystwo Kultury, Miejska Biblioteka Publiczna w Żarach.

Szczegółowych informacji na temat konkursu udzielają organizatorzy.

95 lat Polskiego Ruchu Filatelistycznego

W styczniu 1893 r. powstał w Krakowie pierwszy polski klub filatelistów, który dał początek zorganizowanemu ruchowi filatelistycznemu w Polsce. Wśród założycieli znaleźli się tacy wybitni polscy zbieracze jak: M.M. Urbanowski, dr W. Placzek, Wł. Leliwa-Halaćkiewicz, dr Harajewicz Siatkowski, W. Kuratowski czy St. Skąpski (prezes). Klub prowadził czytelnik, w której można było skorzystać z 26 pism filatelistycznych a także z kilkudziesięciu katalogów filatelistycznych i cenników różnych firm zagranicznych. Zebrania członków odbywały się w każdy czwartek. Od samego początku istnienia klubu krakowskich działaczy nurtowała myśl powołania własnego pisma. Już 10 marca 1893 r. zapadła decyzja wydawania "Polskiego Filatelisty", pierwszego miesięcznika filatelistycznego, którego pierwszy numer ukazał się w kwietniu tegoż roku. Redaktorem naczelnym został M.M. Urbanowski. Wzorem Krakowa zaczęły powstawać różne kluby zbieraczy marek czołgi pocztowych i stempli. Właściwy rozwój nastąpił dopiero w wolnej ojczyźnie.

W 1933 r. w Toruniu powołano do życia Związek Stowarzyszeń Filatelistycznych. Po II wojnie światowej od 1945 r. reaktywują swoją działalność niektóre przedwojenne stowarzyszenia filatelistów. We wrześniu 1948 r. powołano do życia w Toruniu Związek Stowarzyszeń Filatelistycznych w Polsce, z siedzibą w Warszawie. W 1950 r. na I zjeździe w Warszawie utworzono Polski Związek Filatelistów, który szybko przekształcił się w masową organizację społeczno-kulturalną. Wystarczy przytoczyć kilka cyfr. W 1948 r. wszystkie stowarzyszenia filatelistyczne skupiały 1.152 osoby, w 1953 r. już 13.338, w 1968 — 161.214, a obecnie 336.000 członków zorganizowanych jest w 600 kołach terenowych, ponad 2.500 przyzakładowych i 1780 miłośników. Ważną dziedziną propagowania polskiej filatelistyki są wystawy i pokazy, historia których zaczyna się na ziemiach polskich od 1911 r. kiedy to zorganizowano pierwszą okresową wystawę związku kolekcjonerów "Unia". W skali krajowej najwyższą rangę mają wystawy ogólnopolskie. Pierwszą pod nazwą "I Polska Wystawa Marek" zor-

ganizowano w 1919 r. Honorowy patronat sprawowała Helena Paderewska, która na wybitnego muzyka i polityka. Do wybuchu II wojny światowej zorganizowano 5 ogólnopolskich wystaw, ostatnią w 1938 r. W Polsce Ludowej została zorganizowana w 1955 r. w Poznaniu, a ostatnią 15-w w 1987 r. również w Poznaniu. Przed wojną nie mieliśmy żadnej większej wystawy międzynarodowej. W 1960 r. w Warszawie z okazji 100-lecia polskiego znaczka pocztowego i w 1973 r. w Poznaniu w ramach obchodów kopernikańskich odbyły się wystawy pod patronatem FIP, które dobrze przysłużyły się na arenie międzynarodowej polskiej filatelistyce. Coraz więcej ekspozycji członków PZF uczestniczy w wystawach zagranicznych.

Jubileusz 95-lecia polskiego ruchu filatelistycznego jak dotychczas upamiętnili dwa okazy: PZF: Kraków dokonał nadruku na znaczku wydawanym w 1983 r. z okazji 90-lecia ruchu filatelistycznego (CP-826 II). Podobnie postąpił Okręg Zielonogórski.

M. SŁAWOMIR

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, i p. oraz adres dla korespondencji: 65-358 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 48. Telefon, redaktor naczelny i sekretarz: 788-25, sekretarz redakcji: 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 643258. Redaguje zespół: Halina Aniska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Janusz Koniusz (red. naczelny), Zdzisław Łukaszewicz (z-ca red. naczel.), Wiesław

"NADODRZE" I II — 20 II 1988; ROK XXXII; NR 3 (660)

Anegdotczyki - odezwiście się

nadodrze ROZRYWKI UMYSŁOWE

U Carlosa Bakera, biografa Hemingway'a, jest taka oto piękna anegdota, którą cytuję w skrócie:

„Dwudziestego piątego maja, po mocno zakrapianej przyjęciu u Boba Capy, Ernest wrócił do hotelu (Było to w Londynie, przed lądowaniem w Normandii — przyp. mój). Samochód prowadził jeden z gości, doktor Gorer. Jadąc zaciemnionymi ulicami podziwiał lekarz rabinę prostą w stolicy zbioru na wodę Hemingway wybił głową przednią szybę i z głęboką raną wypadł w szpitalu. (...) Burke przyniósł w prezencie pół butelki whisky z życzeniami powrotu do zdrowia. (...) Wziął więc — wspomina Burke — te moje pół butelki i dał mi w zamian pełną”.

Króciutka anegdota, w której jednak odbija się pełnym blaskiem cały kawał barwnej osobowości wielkiego pisarza.

Nie żałuje nam anegdota Giorgio Varsari w swoich „Żywotach najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów”. Ten wspaniały autor, sam zresztą też artysta, słusznie wierzył, że jedna anegdota można więcej powiedzieć o człowieku, niż w stu rozległych recenzjach.

Czy w Zielonej Górze albo w Gorzowie istnieje coś takiego jak anegdota? Owszem, istnieje, jednak głównie w języku mówionym — w życiu towarzyskim, mniej lub bardziej opierającym się walce z trunkowaniem.

Kilka anegdot lokalnych pozwoliłem sobie przytoczyć w moich „Przechadz-

kach zielonogórskich”, ale że książka wyszła jedenaście lat temu i w małym nakładzie oraz że na jej drugie, rozszerzone wydanie z braku pieniędzy się nie zanoszą, przypominę tu na okrasę trzy.

Archeolog zielonogórski Edward Dąbrowski o dziesięć lat przerastał wiekiem legendarnego już prawie i niezłomnego o wielu lat wybitnego malarza Klementa Felchnerowskiego. Mimo dziesięciu lat różnicy obaj chętnie gaworzyli przy szklence. Zauważył to prezes LTK Wiesław Sauter i przy jakiejś okazji rzekł:

— Ten Felchnerowski, to jest bardzo zdolny artysta, tylko po co on tego młodego Dąbrowskiego tak rozpija?

Dąbrowski zaglądał do kieliszka już wtedy, kiedy Felchnerowski był w tym temacie jeszcze dziewicą. Nic dziwnego, że właśnie Dąbrowskiemu zdarzyła się raz wpadka w samą wigilię. Po prostu ze śledzikiem się zagadał i na wigilię przyszedł o dwudziestą drugą.

— Gdzieś ty był do tej pory? — usłyszał — matka przyjechała, a ciebie nie ma.

— To dzisiaj jest wigilia?

— Nie widzisz choinki?

— To w tej sytuacji przesuwam wigilię na dzień jutrzejszy — rzekł archeolog i uciekł pod koldrę.

Co było na drugi dzień, niech pozostanie w krainie milczenia.

Przez bardzo wiele lat wojewódzkim Konserwatorem Zabytków w Zielonej

Górze był dr Stanisław Kowalski. Na pomocnika przyjął jednego roku mgr Eugeniusza Jakubaszka, który oprócz innych sympatycznych zalet miał i tę, że się jakaś. Przyznane przez przewodniczącego WRN Jana Lembasa pół miliona złotych na ratowanie zabytków konserwatorzy wydali w całości na jeden zabytkowy, drewniany kościółek. Kiedy do Jana Lembasa doszła ta wiadomość, przewodniczący wezwał do siebie konserwatorów, zbesztal ich i na koniec waląc pięścią w stół spytał:

— Kto tu do cholery w końcu rzadzi?

Na to jaskający się Jakubaszek:

— Ja nie wiem, dopiero drugi tydzień tu pracuję.

Rozumiem oczywiście, że anegdota — to jest drobny, w porównaniu z hutnictwem, górnictwem i budownictwem, jednak nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że w anegdocie, jest często więcej prawdy o ludziach i ich czasach, niż w wielu poważnych rozprawach, które w dodatku szybciej się starzeją, niż ich autorzy.

Mam w związku z tym apel: Anegdotczyki, odezwiście się. Nic wam nie grozi, Kanał Wołga — Don zbudowano już dawno. Może wspólnymi siłami udałoby się nam zrobić coś na podobieństwo antologii anegdot zielonogórsko-gorzowskiej? Piszcie na „Nadodrze”. Tak jak kiedyś pisało się na Berdycewów.

HENRYK ANKIEWICZ

okolicie Zielonogór

W pijanym widzie

W Hrubieszowie pijak jadący „Syreną” potrafił dwoje dzieci idące drogą. Osmioletnia dziewczynka na skutek obrażeń zmarła. Jej dziesięcioletni brat ciężko poszkodowany przebywał w szpitalu.

W Ostrołęce pijak, również za kierownicą „Syreny”, potrafił rowerzystę, który ponosił śmierć na miejscu.

W Turku pijany miliant jadący „Fiatem 126 p” najechał na przechodzącego przez ciemną dla pieszych 49-letniego mężczyznę, który doznał ciężkich obrażeń ciała.

W Wymysłowie w woj. piotrkowskim na zwłoki pijanego mężczyzny przejechanego przez samochód „Star”, najechał nagle „Fiat 126 p”, którego kierowca także okazał się pijany.

W Ustrzykach Dolnych nieatrakcyjny kierowca Zakładu Przemysłu Leśnego, prowadzący ciężarówkę naładowaną drewnem, zjechał z drogi i zabił starą kobietę.

W Koszalinie pijany mężczyzna wsiadł do wozu bojowego straży pożarnej, włączył sygnalizację i jechał z fasonem przez miasto, aż na skrzyżowaniu zderzył się z autobusem „Ikarus”, powodując obrażenia cieleśne wielu pasażerów i śmierć trzyletniego dziecka.

W Gdyni 35-letni Franciszek W. będąc pijany, uduł swą 35-letnią przyjaciółkę, także pijaną Ewę S. i zmasakrował jej ciało.

W dyskotekę „Grot” w Szczecinie doszło do pijackiej bójki, która zaczęła się od nieporozumienia z barmanem z powodu niegrzecznej obsługi i podawania wódki z pepsi colą jako koniaku.

W Piasecznie koło Warszawy z magazynu Zakładów Elektronicznych „Lamin” skradziono 187 kg srebra wartości 10 mln zł. Złodzieje weszli do wewnątrz z łatwoczą, ponieważ tego dnia magazynierzy popijali sobie podczas pracy, a potem wychodząc, zapomnieli po zamknięciu pomieszczenia.

W Częstochowie zmarły cztery osoby, które dzień wcześniej uczestniczyły w uroczystości rodzinnej, podczas której gospodynii domu oficjalnie uraczyła wszystkich gości gilem.

„Z danych Ministerstwa Rynku Wewnętrznego wynika, że w 1987 roku do sprzedaży w całym kraju trafiło tyle samo wódek mocnych, co przed dwoma laty. Całoroczna sprzedaż alkoholu w przeliczeniu na czysty spirytus wyniosła około 153 mln litrów. Na statystycznego Polaka, w tym starców, dzieci, osoby

chore i kalekie w szpitalach i zakładach, wypadło 4,1 litra spirytusu.

W ślad za Polskim Monopolem Spirytusowym podążają browary i wytwórnie win. O kieliszek dobrego wina gronowego i kufel dobrego piwa niezmiennie trudno, za to łatwo o sikacza. Prowadzono swego czasu kampanię o zaprzestanie produkcji tego „wina”, które dla organizmu jest prawdziwą trucizną, jednak daremnie. Jak donosiła prasa, Zakłady Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Milejowie Podlaskim, za sumę 550 tysięcy guldów, zakupiły w Holandii najnowsze maszyny do rozlewania, kapslowania butelek i naklejania etykiet. Dzięki tym urządzeniom, z Milejowa co osiem godzin ruszać będzie w Polskę 40 tysięcy butelek tego płynu.

Sikacz znika z półek sklepowych błyskawicznie. Kupują go prawie wyłącznie alkoholicy, także młodzież, gdyż jest tani, więc za niewielki pieniądź można się szybko upić. Producent z pewnością osiągnie wielkie zyski, zgodne z zasadami II etapu reformy.

Tymczasem...
Da capo al Fine.

HALINA AŃSKA

MaRGINAŁKI

KOMU MARZY SIĘ WŁADZA. W trzecim numerze „Szpilek” Jacek Tomski w publikacji „Z kapownika bywalca” pisze o sytuacji w polskiej rozrywce, zadając pytanie: „W jaki zatem sposób środowisko rzęszy piosenkarzy, tekściarzy, akrobatów, katarinarzy, kompozytorów, cyrkowców, orkiestr, kapel, konferansjerów, striptizerów oraz Adam Zwierz mają przedstawiać swoje postulaty i żądania władzy?” Ciągły do sprawowania władzy mają wszyscy, ale najwięcej szans zapewne akrobaci.

SKAZANI NA POZNAN. „Spotkania z kulturą”, emitowane przez poznańską TV, rzadko goszczą w obu lubuskich województwach. W programie z 23 stycznia br. redaktor Adam Kochanowski zapowiedział rozmowę z dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki UW, nie zaznaczając nawet, o jakie województwo chodzi. Oczywiście, było tylko, podobnie jak cały program, o Poznaniu. Dowiedzieliśmy się m.in., że „do krzesła w filharmonii lub teatrach dopłaca się ponad 700 zł”, co świadczy o wytwornej polszczyźnie prowadzącego program „J. na koniu”, by użyć ulubionego zwrotu redaktora Kochanowskiego, warto by zapytać, czy Poznań jest rzeczywiście pekipem kulturalnym zachodniej części Polski?

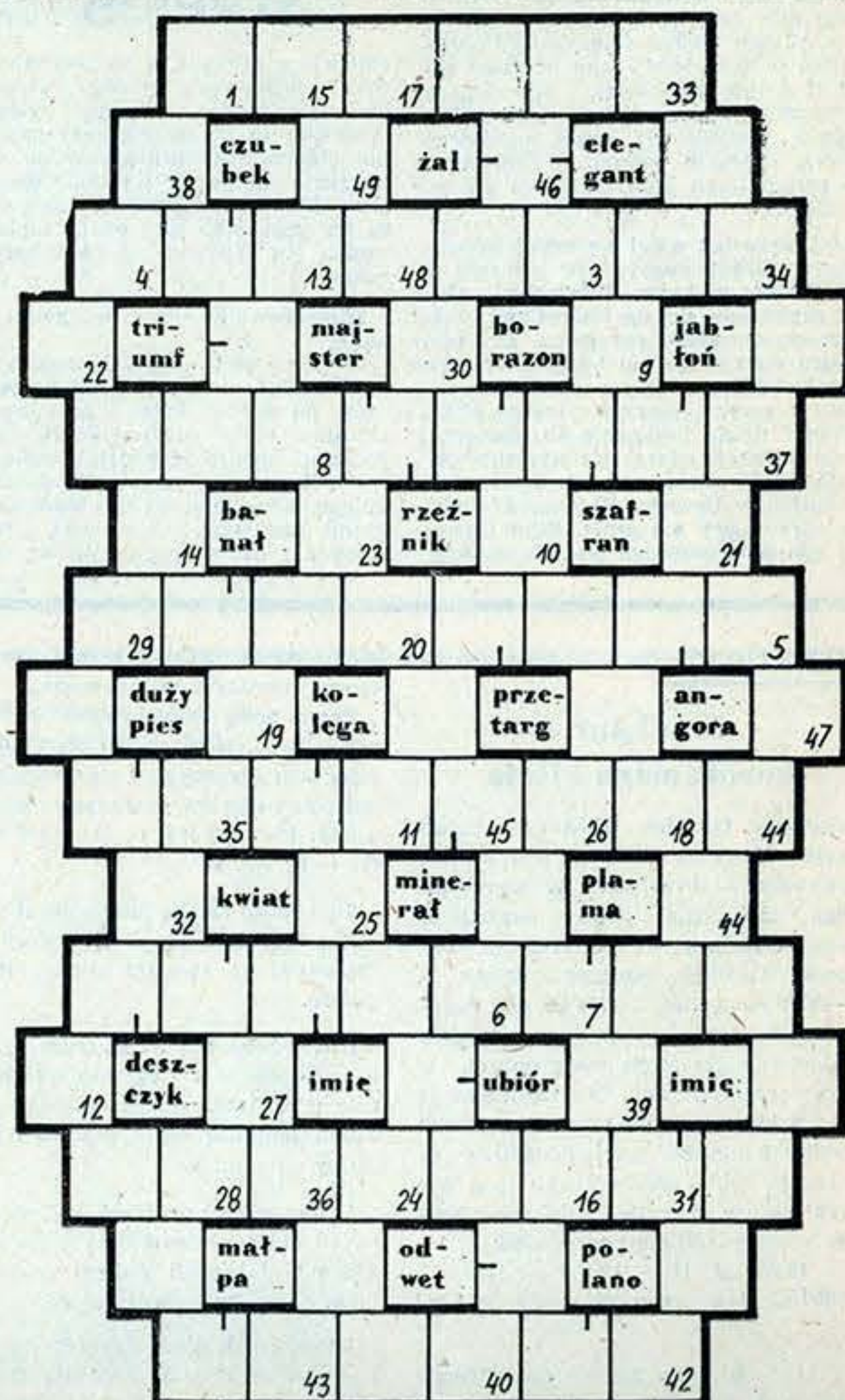
KTO ZASTĄPI ANDRZEJA WASKIEWICZA? W książce „Zielona Góra jako ośrodek kultury”, wydanej przez miejscową WSP, pomieszczono m.in. pracę

Andrzeja Bucka pt. „Funkcje zielonogórskiego środowiska prasowego”. Autor z gorącą konstatacją: „Brak po wyjeździe Andrzeja K. Waskiewicza krytyków literackich, bo przecież nie wypełni tej roli Zenon Łukaszewicz czy Janusz Koniusz”. Oczywiście, że nie wypełni, rolę tę może wypełnić tylko Andrzej Buck.

ZYSKI I STRATY. W tej samej pracy zbiorowej znajdujemy tekst Czesława P. Dutki, zatytułowany „Kultura literacka: regionalność i rola pisarza”. Autor, pisząc o roli tzw. „kulturalnej per swazji” za pomocą kanonu lektur, przywołuje za przykład „Nadodrze”: „No cóż, tutaj o egzemplu równie łatwo. Mam je już zresztą we własnym bagażu doświadczeń nabytych w tym mieście wokół wspólnych usiłowań w organizowaniu i stymulacji odbioru lektury szkolnej na łamach dwutygodnika „Nadodrze”. Latwo domyślić się chyba, iż nie lub zgola niewiele z zamierzenia wyszło. Uczestwie mówiąc — nie bez winy i naszego akademickiego środowiska. W sytuacji kryzysu gazeta wolała przejść — dla ratowania nakładu — do realizacji jeszcze jednego „es”, którego strategii od reformy nie przewidzieli, gdy redaktorzy poczęli epatować potencjalnego i bieżącego czytelnika wy borem „scen miłosnych w literaturze”, co odnotowuje zupełnie serio jako alternatywną socjologiczną natury — stratedię nadania i odbioru. Gazeta chce ch w y t a ć, jak p ow i a d a M a l r a u x... (...) Arcydzieło zmieszano się mimo woli — w przypadku miejscowego pisma — z nobilitowanym grafomanstwem, styl wysoki z niskim. W obieg czytelniczy regionu wszedł klasyk obok ciągle obiecującego debiutanta. Czy zatem — wolno zapytać — otworzyła tak założona takty-

ka na usługi oczekiwanej strategii dwutygodnika formę doświadczeń kulturowych? Czy gwarantuje owa intrygująca inicjatywa, tu i ówdzie powielana (np. w bydgoskich „Faktach”, łódzkich „Odgłosach”), wspólnotę i dalszą ciągłość w kształtowaniu kultury literackiej? Na tak postawione pytanie nie znajduję odpowiedzi. Czas narodził problem zweryfikuje — pokaże zyski i rozliczy ze strat”. Nam także bliskie są takie wątpliwości. Szkoda tylko, że w wywodzie dr Dutki zabrakło egzem plifikacji: kto jest klasykiem, a kto ewidentnym grafomanem?

IMPERIALIZM W KRYTYCE. Jakże dawno nie napotkaliśmy słowa „imperializm” — słowa zużytego w latach pięćdziesiątych. Toteż z niemałym rozrównieniem czytaliśmy tekst Krzysztofa Pysiaka „Groteski pół a rewolucji ćwierć” („Literatura” nr 11-12 z ub. roku), w którym autor kontynuuje dyskusję o młodej polskiej prozie, zapoczątkowanej przez Jana Błońskiego, i w ślad za nim ostro atakuje Henryka Bere ze i jego program: „Lecz przecież Błońskiemu nie chodzi o młodą prozę. Nie ję oskarża, ale pewną praktykę krytyczną. (...) Głównym winowajcą okazuje się przeto Henryk Berez ze swym krytycznym imperializmem, który każe za liczać do rewolucyjnych zastępów niemal wszystkich debiutantów i z brakiem poczucia hierarchii, który powoduje nobilitację pisarzy trzeciorzędnych. Wśród autorów ze szkoły Berez ze jest może dwóch albo i trzech niezłych pisarzy, jest kilku średnich i jest — nie stety — cała reszta, która korzystając z ogłoszonej przez mistrza „językowej wolności” daje upust skłonnościom grafomańskim”. Oto, do czego doprowadza imperializm! W krytyce...



WIROWKA Z HASŁEM
Oprac. WIESŁAW PYZEWICZ

Kierunek wpisywania wyrazów prawoskrętny. Liter y z pól ponumerowanych od 1 do 49 utworzą rozwiązanie wirowki.

Za bezbłędne rozwiązanie zadania roz losujemy nagrodę książkową wartości ok. 1000 zł. Rozwiązania z naklejonym

na kopercie, zamieszczonym obok kupo-nem, prosimy nadsyłać na adres redak-cji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 1

Hasło stanowiące rozwiązanie krzy-żówki brzmiało: „Do siego roku”. Na-grodę książkową wartości 1.000 zł wy-losowała p. ANNA ROMANIUK, zam. ul. Zamenhova 1a/31, 67-100 Nowa Sól. Gratulujemy.



HILARY GWIZDAŁA
— artysta malarz



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA